DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend

RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (5), MOHAMADREZA AZHDARI/UNSPLASH

Mniej ludzka wojna

/ M3

Wywiad / M8

Nie brałem pieniędzy z Rosji

Łukaszenka zachował władzę dzięki Moskwie, co czyni z niego dłużnika. Spłacał dług współudziałem w agresji na Ukrainę

mówi Wiktar Babaryka

Gospodarka / M14

LOcaL content

Czy repolonizacja gospodarki może skutkować premiowaniem firm mniej efektywnych, ale lepiej wpisujących się w urzędowy szynel

zastanawia się Sebastian Stodolak

Bankowość / M16

Sprzątanie po Czarneckim

Resztkowe aktywa, zarządzane obecnie przez syndyków banków Leszka Czarneckiego, nie są jedyną problematyczną pozostałością po jego imperium

pisze Tomasz Jóźwik

9 772080 674051 24

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 112 (6781), 12–14 CZERWCA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 0c056d6efb

Opinia / M5

Chwała tym, którzy uspokajają

Polska i Ukraina wciąż jeszcze mają szanse, by wyjść bez poważnych strat z nieszczęsnej awantury wokół „bohaterów UPA”
przekonuje Witold Sokała

Wywiad / M12

Między narodami nie ma przyjaźni

Zadaniem Polski jest uzmysłowić naszym wschodnim partnerom, że nie mogą z nami w ten sposób pogrywać
mówi Tobiasz Bocheński

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Gdzie jest Warszawa?

Jan Wróbel

Warszawa jest absolutnie niezbędnym ogniwem w rozmowach o przyszłości Ukrainy i regionu – wypowiedział się ostatnio Donald Tusk. Tyle że to nieprawda. W Europie uformowała się agenda Trzech, czyli porozumienie Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec. Ma koordynować europejskie starania o pokój rosyjsko-ukraiński. Prezydent Zełenski deklaruje poparcie. My w tym czasie zajmujemy się odbieraniem mu Orderu Orła Białego oraz kolejnymi, na sto procent nieskutecznymi, zabiegami PiS o odwołanie kolejnego ministra (tym razem spraw wewnętrznych).

Po drodze dostajemy od grupy trzymającej władzę w Unii Europejskiej policzek. Żaden Polak nie otrzyma stanowiska ambasadora unijnego, chociaż już poprzednia sytuacja, w której mieliśmy raptem dwoje ambasadorów, była krzywdząca. No tak, ale „za PiS” to wiadomo, jak wyglądały nasze relacje z Europą. Teraz wyglądają o niebo lepiej...

Rząd nałożył na Polskę wieloletnie zobowiązania kredytowe w ramach projektu SAFE, chyba korzystne dla Polski, a na pewno korzystne dla najważniejszych producentów broni w Europie. A w przystępie pomroczności premier dystansował się nawet od idei przesunięcia grupy amerykańskich żołnierzy z Niemiec do Polski („bo byłoby to podbieranie”). W zamian jesteśmy poza składem mającym koordynować pomoc dla Ukrainy. Naszego sąsiada, któremu pomagamy od pierwszej chwili wojny.

Można z przekąsem powiedzieć, że Londynowi, Paryżowi i Berlinowi łatwiej się porozumieć z Kijowem, ponieważ podczas ostatniej wojny to nie Brytyjczycy, Francuzi i Niemcy padali ofiarą UPA. Można też pouczać, że tak właśnie wygląda „realpolitik” – silne gospodarki rządzą. Najlepiej byłoby jednak nie uciekać ani w sarkazm, ani w kawiarniano-internetowe mądrzenie się, lecz na serio zapytać, co teraz. Od stawiania pytań o przyczyny naszej niewysokiej pozycji w międzynarodowej grze są opozycja i opinia publiczna. Nad opozycją dominuje PiS, którego wniosków, z zasady utopionych w hurrapatriotycznym rozedrganiu, nie traktuje się poważnie nawet w myślącej części PiS. Nad opinią publiczną dominuje internet. Jak mawia klasyk, tyle w temacie. ©℗

FOT. MAGDALENA CHODOWNIK/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

Świat / M10

Niespieszne duszenie Kuby

Czy reżim w Hawanie jest następny na liście celów Donalda Trumpa? Sytuacja na odizolowanej sankcjami od świata wyspie zaczyna graniczyć z kryzysem humanitarnym
pisze Mariusz Janik

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl 0c056d6efb

Mniej ludzka wojna

RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (3), BERNARD HERMANT/UNSPLASH

Ukraińcy liczą na to, że sztuczna inteligencja pomoże im zabijać tak wielu rosyjskich żołnierzy, że Moskwa nie będzie w stanie zastępować ich nowymi rekrutami

Karolina
Wójcicka
korespondencja z Kijowa i Lwowa

Biuro w centrum Kijowa, do którego wiosną tego roku wprowadzili się pracownicy nowo utworzonego centrum obrony AI, przypomina bardziej przestrzeń startupową niż jednostkę podlegającą ukraińskiemu Ministerstwu Obrony. Na ścianach wiszą plakaty informujące o zajęciach jogi, w tle rozbrzmiewa popularna piosenka Loli Young, a po korytarzach spacerują dwudziestoparolatkowie z MacBookami w rękach. – Naszym głównym celem jest przekształcenie sztucznej inteligencji w narzędzie, które zapewni nam realną przewagę na polu bitwy – mówi mi dyrektor AI Danylo Tsvok, gdy siadamy w jednej z sal konferencyjnych. – Nie marnujemy czasu na omawianie wielkich koncepcji czy pisanie białych ksiąg. Nasz zespół składa się w 90 proc. z inżynierów i pracuje nad faktycznym wdrażaniem i integrowaniem wojskowych rozwiązań AI – dodaje.

Z powodu nakładanych przez sojuszników ograniczeń – dotyczących np. używania zachodniej broni do ataków na terytorium Rosji – Ukraina zaczęła rozwijać własne innowacje obronne. Decydenci uznali, że sztuczna inteligencja może być odpowiedzią na część trapiących armię problemów, takich jak niedobór żołnierzy, szczególnie w piechocie. – Chcemy osiągnąć przewagę asymetryczną, żeby skutecznie walczyć i niwelować liczebną dominację przeciwnika – tłumaczy Tsvok. I podkreśla, że korzyści jest więcej. AI ma umożliwiać „optymalizację działań na polu walki” oraz pełnić funkcję „mnożnika siły”, czyli zwiększać skuteczność dzięki szybszemu przetwarzaniu informacji i sprawniejszemu podejmowaniu decyzji. Mówiąc brutalnie, sztuczna inteligencja ma pomóc Ukraińcom zabijać tak wielu rosyjskich żołnierzy, że Moskwa nie będzie w stanie zastępować ich nowymi rekrutami. Obecnie celem jest zwiększenie liczby zabitych i rannych po stronie wroga z 35 tys. do ponad 50 tys. miesięcznie.

Armia sterowana przez AI

Już na początku wojny kluczowym narzędziem obrony stały się drony. Dziś odpowiadają one za ok. 70–80 proc. strat na polu walki. Intensywna rywalizacja technologiczna przyspieszyła rozwój kolejnych innowacji, takich jak wykorzystanie światłowodów do omijania systemów zakłócających lot. Ambicje Ukraińców sięgają jednak dużo dalej. – Musimy stworzyć armię sterowaną przez AI – przekonuje 35-letni Tsvok. Podobnie jak większość pracowników przeszedł do centrum A1 z Ministerstwa Transformacji Cyfrowej, w którym nadzorował wdrażanie rozwiązań opartych na sztucznej inteligencji.

Tsvok nie jest wyjątkiem. Obeznani z nowymi technologiami młodzi ludzie odgrywają coraz większą rolę w tworzeniu strategii obronnych Ukrainy. Rówieśnikiem Tsvoka jest minister obrony Mychajło Fedorow, który w niedawnym wywiadzie dla „New York Timesa” przekonywał, że w przyszłości wszystkie działania bojowe zarówno na lądzie, jak i w powietrzu będą prowadzone przez systemy robotyczne. – Strefa walk całkowicie opustoszeje z ludzi – prognozował Fedorow.

Minister chętnie się uczy od światowych potentatów AI. Regularnie spotyka się m.in. z Alexem Karpem, prezesem firmy Palantir, która sprzedaje Ukrainie swoje rozwiązania wojskowe. W kwietniu Palantir opublikował polityczny manifest, w którym jako najważniejszą technologię współczesnych konfliktów wskazuje nie broń nuklearną, lecz właśnie sztuczną inteligencję. W 22-punktowym dokumencie promującym zmilitaryzowaną wizję świata pojawiają się też tezy o „lepszych ▷

eprasa.pl 0c056d6efb

Na początku roku Kijów uruchomił opartą na oprogramowaniu Palantira platformę, która umożliwia testowanie modeli sztucznej inteligencji z wykorzystaniem wrażliwych danych wojskowych

i gorszych" kulturach oraz o potrzebie większego zaangażowania Doliny Krzemowej w obronność. Spółka od dłuższego czasu znajduje się w ogniu krytyki m.in. za współpracę z amerykańską Służbą Imigracyjną i Celną (ICE) przy identyfikowaniu osób do deportacji oraz dostarczanie Izraelowi narzędzi, które umożliwiły dokonanie ludobójstwa w Strefie Gazy.

Dla Ukraińców te zarzuty mają dziś drugorzędne znaczenie. Na początku tego roku Kijów uruchomił opartą na oprogramowaniu Palantira platformę Dataroom, która umożliwia testowanie modeli sztucznej inteligencji z wykorzystaniem wrażliwych danych wojskowych. Ma to zapewnić ukraińskiemu sektorowi obronnemu dostęp do informacji z pola walki potrzebnych do trenowania algorytmów AI. – Ponad 100 firm szkoli już ponad 80 modeli przeznaczonych do wykrywania i przechwytywania celów powietrznych w złożonych warunkach – powiedział Fedorow. W wywiadzie dla „New York Timesa" minister podzielił opinię prezesa Palantira, stwierdzając, że „autonomiczne systemy uzbrojenia są nową bronią nuklearną", a dysponujące nimi państwa „będą bezpieczne".

Nie ma przyszłości bez AI

Młodzi inżynierowie zatrudnieni w centrum A1 pracują m.in. nad systemami wspomagającymi analizę danych wojskowych. Jeden z projektów, o których opowiada mi szef Tsvok, to narzędzie prognostyczne modelujące scenariusze operacyjne i generujące rekomendacje dotyczące możliwych wariantów działań. Kolejnym ważnym obszarem działalności centrum jest wykorzystanie sztucznej inteligencji w sferze kinetycznej. – Obejmuje to wdrażanie rozwiązań AI w różnego rodzaju systemach i urządzeniach, co ma zwiększyć zdolność do identyfikacji i niszczenia celów – wyjaśnia Tsvok.

Doniesienia z frontu potwierdzają, że AI ma realne przełożenie na wzmocnienie pozycji ukraińskiej armii. „Sztuczna inteligencja wyraźnie zaznacza swoją obecność na polu walki. Jej integracja zwiększyła skuteczność ukraińskich uderzeń dronami FPV (first-person view, czyli zdalnie sterowanych – red.) z 30–50 proc. do ok. 80 proc." napisał David Kirichenko w internetowym czasopiśmie „War Room" wydawanym przez U.S. Army War College. Jego zdaniem postępy w rozwoju technologii bezzałogowej umożliwiają Ukrainie atakowanie Rosjan w rejonie linii frontu z większej odległości i z lepszą precyzją.

W AI coraz częściej inwestują też prywatne firmy. – Jeśli twój produkt nie wykorzystuje sztucznej inteligencji, to moim zdaniem nie ma przed sobą przyszłości. Nasi producenci doskonale o tym wiedzą – mówi mi Ihor Fedirko, szef Ukraińskiej Rady Przemysłu Obronnego (UCDI).

Podkreśla, że na razie AI jest używana głównie do namierzania celów oraz identyfikowania budynków i innych obiektów. Wykorzystywanie jej w działaniach bojowych wciąż pozostaje na wczesnym etapie, a wiele rozwiązań jest – według ekspertów – „przehajpowanych". – Dobrze sprawdzają się innowacje firmy Swarmer, w miarę dobrze działają też systemy The Fourth Law. Inne firmy często przeceniają skuteczność swoich rozwiązań – przyznaje jedno ze źródeł w kijowskim środowisku analitycznym.

Mój rozmówca przestrzega przed hurraoptymistycznymi doniesieniami, opisującymi przełomowe zastosowania AI na polu walki. Przykładem może być historia z końca 2025 r., gdy naziemny dron bojowy (UGV) używany przez ukraińską 3 Brygadę Szturmową utrzymywał pozycję na linii frontu bez wsparcia piechoty przez 45 dni. Na początku tego roku rządowa platforma medialna United24 poinformowała, że Droid TW-7.62, zdalnie sterowany bezzałogowy pojazd lądowy, podczas operacji bojowej ułatwił pojmanie trzech rosyjskich żołnierzy.

Emocje studzi również Oleg Fedoryshyn, szef działu R&D w firmie DevDroid, która opracowała oprogramowanie wykorzystywane przez ten pojazd. – Sposób, w jaki brygada wykorzystała to narzędzie, był imponujący. To bardziej jej zasługa niż nasza czy samej sztucznej inteligencji – przekonuje Fedoryshyn na spotkaniu we Lwowie. – Wszystko zależy od ludzi: od tego, jak używają naszych rozwiązań, jak planują operacje i jak podejmują decyzje – dodaje.

To nie jest Terminator

Ukraińcy zdają sobie sprawę, że przynajmniej na razie nowe technologie nie są w stanie całkowicie zastąpić sprawdzonych systemów uzbrojenia. Gdy Fedorow na swoim profilu na Linkedin donosi, że ukraińskie drony autonomicznie przechwytują już rosyjskie Szahedy, w tym samym czasie Wołodymyr Zełenski wysyła list do Donalda Trumpa, w którym ostrzega przed pogłębiającym się niedoborem systemów obrony powietrznej. Kijów się obawia, że ograniczone zapasy pocisków przechwytujących dla systemów Patriot i innych zachodnich systemów obrony przeciwlotniczej mogą nie wystarczyć do odparcia coraz bardziej intensywnych rosyjskich ataków.

Oleksandr Mereżko, przewodniczący komisji spraw zagranicznych ukraińskiego parlamentu podkreśla, że w ostatnich latach jego kraj „wiele się nauczył", więc dziś może się dzielić doświadczeniami i know-how m.in. z państwami Zatoki Perskiej, które zostały wciągnięte w nową wojnę. – Rozwijamy się szybko, czego dowodem jest choćby to, że jesteśmy w stanie coraz głębiej uderzać na terytorium Rosji. Ale to nie zmienia faktu, że nie da się całkowicie obejść bez amerykańskiej broni – tłumaczy Mereżko. Mimo technologicznego entuzjazmu Ukraińcy nie mają więc złudzeń, że sztuczna inteligencja sama rozstrzygnie losy wojny.

Fedoryszyn, który po wybuchu wojny przeszedł do sektora zbrojeniowego z mediów, nie wierzy, że w bliskiej przyszłości działania bojowe będą prowadzić wyłącznie roboty. – Nie sądzę, żeby było to w pełni możliwe – ani obecnie, ani w ciągu kolejnych trzech–pięciu lat. Na niektórych etapach można używać AI jako wsparcia, zwłaszcza że część operacji trwa bardzo długo – tłumaczy. Jednak zaznacza: – To nie jest Terminator, choć ludzie często właśnie tak wyobrażają sobie przyszłość.

Wielu ekspertów przekonuje, że debata o wykorzystaniu sztucznej inteligencji w wojsku powinna w większym stopniu skupić się na tym, jak wyznaczyć granice zastosowania AI w wojsku. Wbrew temu, co twierdzą najgorętsi zwolennicy tej technologii, niekoniecznie przyczyni się ona do ograniczenia ofiar wśród cywilów. Do sceptyków należy m.in. Lauren Gould, badaczka Uniwersytetu w Utrechcie. – W praktyce AI skraca kill chain, czyli sekwencję działań od wykrycia celu do przeprowadzenia ataku – zauważa ekspertka.

Jej tezę mogą potwierdzać operacje Izraela w Strefie Gazy. Jak wynika ze śledztwa portali +972 Magazine i Local Call, oparty na sztucznej inteligencji system Lavender odegrał kluczową rolę w bombardowaniach Palestyńczyków, zwłaszcza na początku wojny. Według różnych szacunków od 7 października 2023 r. w palestyńskiej enklawie zabito co najmniej 100 tys. osób. Zdaniem dziennikarza Juwala Abrahama na tak ogromną skalę ofiar wpłynęła właśnie automatyzacja procesu selekcji celów. Lavender przetwarza miliony danych m.in. ze źródeł wywiadowczych, tworząc bazy osób podejrzewanych o przynależność do Hamasu. Następnie system ocenia prawdopodobieństwo ich zaangażowania w działania zbrojne. Choć AI nierzadko się myli, to według Abrahama w IDF jej wskazania traktowano prawie tak jak rekomendacje człowieka.

W przeszłości w izraelskim wywiadzie funkcjonowały zespoły odpowiedzialne za tworzenie tzw. banku celów, czyli bazy potencjalnych obiektów ataku. Proces ten był czasochłonny – oficerowie samodzielnie gromadzili, weryfikowali i analizowali informacje, na podstawie których zapadały decyzje o uderzeniu. Podczas operacji „Filar obrony" w 2011 r. Siły Obronne Izraela (IDF) przeprowadziły ok. 5 tys. ataków powietrznych. Jak mi mówił były prawnik IDF Tal Mimran, dziś armia jest w stanie przeprowadzić podobną liczbę uderzeń w ciągu doby. W pierwszych trzech miesiącach wojny w Gazie dziennie bombardowano od 1 tys. do 4 tys. celów. – Jeśli chodzi o szybkość działania, to nowe systemy, oparte m.in. na AI, stanowią prawdziwy przełom – tłumaczył Mimran.

Granice ludzkiej kontroli

Ukraińcy zapewniają – przynajmniej oficjalnie – że nie zamierzają całkowicie zdać się na sugestie AI. Tsvok podkreśla, że „człowiek musi być obecny w pętli decyzyjnej", a systemy należy projektować w taki sposób, aby operator sprawował nad nimi pełen nadzór. – Kontrola systemów autonomicznych zasadniczo polega na tym, że ludzie zatwierdzają ich rekomendacje i działania – zaznacza. W praktyce oznacza to, że dron może wykryć potencjalny cel, ale operator musi go zatwierdzić. Dopiero potem dochodzi do ataku.

Jednocześnie Tsvok dopuszcza scenariusze, w których sztuczna inteligencja mogłaby działać autonomicznie. – Jeśli używając wieży artyleryjskiej, rozumiesz, że jedynym zagrożeniem jest obecność przeciwnika, a twoim zadaniem – zablokowanie infiltracji lub utrzymanie pozycji, wtedy można polegać na decyzji AI – twierdzi Tsvok. Zastrzega jednak, że przy operacjach w bardziej dynamicznym środowisku, w którym istnieje ryzyko obecności cywilów, trzeba mieć pewność co do trafności decyzji.

W ostatnim czasie coraz więcej państw zachodnich sygnalizuje chęć poluzowania ograniczeń etycznych dla AI w kierunku zwiększenia autonomii systemów bojowych. Al Carns, brytyjski minister ds. sił zbrojnych, zasugerował w rozmowie z „Financial Times", że w wyjątkowych okolicznościach maszyny mogłyby samodzielnie podejmować decyzje dotyczące wyboru celów, argumentując: „nasi przeciwnicy nie będą się przejmować tym, czy zaangażowany jest w to człowiek". Na początku czerwca prezydent Donald Trump wydał zaś memorandum, w którym zapowiada przyspieszenie wykorzystania sztucznej inteligencji na potrzeby bezpieczeństwa narodowego.

Gdy pytam Ihora Fedirkę o granice ludzkiej kontroli, odpowiada, że całkowite wyeliminowanie człowieka z pola walki pozostaje utopią. – Ale myślę, że przyszłe wojny będą znacznie mniej ludzkie – przyznaje. Choć Ukraińcy dążą do ograniczenia roli piechoty poprzez stopniowe zastępowanie jej bezzałogowymi pojazdami i coraz bardziej autonomicznymi systemami, to jednocześnie zdają sobie sprawę, że na obecnym etapie rozwoju technologii nie jest to w pełni możliwe. – Czy będziemy na to gotowi w ciągu najbliższych 10 lat? Raczej nie. Ale jestem przekonany, że za 20 lat ok. 70 proc. zdolności wykorzystywanych na wojnie będą stanowić systemy robotyczne, drony i inne rozwiązania oparte na sztucznej inteligencji. Uważam też, że AI będzie podejmować decyzje taktyczne i strategiczne – kwituje. ©℗

Więcej tekstów tej autorki Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 0c056d6efb

OPINIA

Chwała tym, którzy uspokajają

Polacy mają pełne prawo czcić pamięć ofiar, natomiast Ukraińcy zauważać, że UPA to nie tylko rzeź wołyńska, lecz także lata heroicznego i beznadziejnego oporu przeciwko sowieckiej okupacji ich ojczyzny. A Polska i Ukraina wciąż jeszcze mają szanse, by wyjść bez poważnych strat z nieszczęsnej awantury wokół „bohaterów UPA"

Witold

Sokała

Prawdą jest, że w czasie II wojny światowej doszło do makabrycznej, masowej zbrodni ludobójstwa na Polakach. Rozkaz wydali ludzie z kierownictwa Ukraińskiej Powstańczej Armii, wykonały go – w sposób nacechowany okrucieństwem wyjątkowym nawet jak na standardy tego miejsca i czasu – oddziały terenowe UPA przy znaczącej pomocy miejscowej ludności ukraińskiej i generalnie biernej postawie niemieckich władz. Prawdą jest też, że polskie przewiny wobec Ukraińców były wcześniej bardzo poważne, nierzadko krwawe. I nie chodzi tu nawet o sposób tłumienia powstań kozackich przez miejscowych magnatów i szlachtę, w sporej części zresztą spolszczonych Rusinów, lecz przede wszystkim o brutalne zachowania polskiego wojska i policji oraz administracyjne represje w czasach II RP, obliczone (zwłaszcza u schyłku lat 30.) na przymusową polonizację naszych kresowych „kolonii". Prawdą jest jednak i to, że nie wszyscy Ukraińcy dali się porwać krwawemu szaleństwu – wielu do końca ratowało swych polskich sąsiadów przed „bohaterami z UPA", nawet za cenę własnego życia.

Wszystkie powyższe fakty były przez lata kwestionowane nie tylko przez wielu polityków po obu stronach granicy, lecz także przez historyków przedkładających narodową dumę ponad profesjonalną rzetelność. W rezultacie opinia publiczna w obu państwach ulegała wygodnym dla siebie mitom i uproszczeniom. Te zaniedbania zmieszane ze złą wolą pomimo wysiłków podejmowanych przez garstkę specjalistów i działaczy musiały prędzej czy później wybuchnąć nam w twarz. Pech (a może i jeszcze jakiś dodatkowy czynnik) sprawił, że stało się to w momencie najfatalniejszym z możliwych: gdy Ukraina (przy naszym niebagatelnym wsparciu) toczy śmiertelny bój z naszym wspólnym (i najpoważniejszym) wrogiem, czyli rosyjskim imperializmem. A w dodatku ma akurat spore i coraz wyraźniej rosnące szanse na ostateczny sukces.

Tak, Ukraina może wygrać tę wojnę, ale zarazem przegrać pokój. My zaś razem z nią.

Radykałowie nadają ton

Na razie obraz nadciągającej katastrofy widać najwyraźniej w mediach społecznościowych. Pewien „belwederski" profesor nauk społecznych z katolickiego uniwersytetu napisał na swoim profilu, że „Putin miał rację, mówiąc o ukraińskich neonazistach", a „Ukraińcy nigdy nie dorosną do szlacheckości i magnaterii, nawet gdyby mieli pierdylion dolarów. Na zawsze pozostaną wieśniakami (...) i wschodnią swołoczą". Inny akademik, skądinąd zdolny historyk, zaczął na serio sugerować polsko-rosyjski sojusz polityczny i wojskowy przeciwko Ukrainie. Emocje udzieliły się nie tylko ludziom sympatyzującym wcześniej z szeroko pojętą prawicą. Pewien regionalny aktywista Koalicji Obywatelskiej zamieścił fotomontaż przedstawiający Wołodymyra Zełenskiego jako błazna, zapożyczony zapewne z prorosyjskich portali, dokładając doń ognistą filipikę antyukraińską. Zebrał sporo lajków oraz pochlebnych komentarzy, nie tylko od sympatyków PiS i Konfederacji, i być może poszerzył swój elektorat przed wyborami samorządowymi. ▷

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Od pasji do europejskiego dostawcy cyfrowego – nowa strategia biznesowa dhosting.pl

Silne marki IT nie gonią rynku – redefiniują go, konsekwentnie idąc pod prąd. Dopiero z czasem ta energia przeradza się w realny model biznesowy. O nowej kategorii hostingu i ekspansji na rynek rumuński opowiada Rafał Kuśmider – CEO dhosting.pl i mybox.com.

dhosting.pl

Zaufanie jako kapitał

Historia dhosting.pl nie zaczyna się w 2009 roku. Formalny start był zderzeniem z realiami biznesu, ale miał początek jeszcze w szkole. *„To wtedy rodziły się pierwsze doświadczenia, które zdefiniowały to, kim jesteśmy dzisiaj. Mieliśmy własną wizję, ale brakowało nam kapitału i doświadczenia."* - mówi Rafał Kuśmider. W branży, w której klient powierza dostawcy dane firmowe, pocztę i hosting stron, fundamentem jest wiarygodność. To oznaczało zbudowanie technologii, zespołu i kompetencji od zera, ale właśnie ten rodowód okazał się przewagą. Przełom nastąpił w 2016 roku, kiedy dhosting.pl wyrzucił z oferty klasyczne pakiety – wprowadzając Elastyczny Web Hosting. *„Zamiast kopiować rynek, postawiliśmy na prostotę i brak limitów. Wtedy zauważyliśmy, że klienci nie kupują od nas wyłącznie serwera, ale zaczynają ufać naszej wizji – to była rewolucja"* – mówi CEO.

mybox Romania

W czasie, gdy branża konsoliduje się i konkuruje głównie ceną, firma pozostaje niezależna i po raz drugi redefiniuje rynek. Pod marką mybox wchodzi do Rumunii z Modular Web Hostingiem – spersonalizowanym modelem freemium, który drastycznie obniża finansowe i technologiczne bariery wejścia. To kluczowy projekt w strategii dhosting.pl i pierwszy przystanek w ekspansji na rynki Europy. *„Przechodzimy transformację z polskiej firmy w europejskiego dostawcę usług cyfrowych. Po 10 latach kolejny raz zbudowaliśmy nową kategorię rozwiązań, która zmienia zasady gry"* – zapowiada CEO. To część komplementarnej strategii w większej skali, która przenosi wizję dhosting.pl na rynki europejskie.

Aneta Żych

https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/

eprasa.pl 0c056d6efb

Ponadto w ukraińskiej przestrzeni informacyjnej i w wypowiedziach Ukraińców dla naszych mediów pojawiły się (niestety liczne) przykłady aroganckiego pouczania Polaków, że nie mają nic do gadania, podkreślania, że oto Ukraina bierze pomstę za lata opresji ze strony Lachów, względnie zupełnie nieadekwatnych porównań historycznych mających relatywizować prawdę o zbrodni wołyńskiej. Sztandarowym przykładem jest Dmytro Jarosz, niewątpliwy bohater ruchu oporu przeciwko rosyjskiej napaści, który niedawno roztoczył nawet wizję wspólnego bloku ukraińsko-polsko-litewsko-białorusko-mołdawskiego, ale jednocześnie zasugerował, że Polacy byli na Wołyniu wyłącznie okupantami, których UPA miała prawo potraktować tak, jak uznała za słuszne. To z kolei polskim „wzmożonym" posłużyło do dalszego eskalowania emocji, więc spirala nakręciła się błyskawicznie. Z dyskretnym wsparciem rosyjskich agentów wpływu bardzo ucieszonych, że dotychczasowi „normalsi" zaczęli coraz częściej, ochoczo i bezpłatnie udostępniać ich wpisy, pseudonaukowe analizy oraz memy szkalujące Polaków w ukraińskiej infosferze i vice versa.

Znana dziennikarka mediów tradycyjnych publicznie oskarżyła wiceministra nauki (i zawodowego politologa) Andrzeja Szeptyckiego o zdradę Polski na podstawie wyrwanego z kontekstu i ewidentnie nadinterpretowanego zdania, w którym próbował on wyjaśnić (ale bynajmniej nie usprawiedliwić) dość popularny sposób postrzegania UPA przez samych Ukraińców. Uderzając w rząd, co stanowi dobre prawo publicysty, pewnie nieprzypadkowo wymierzyła cios akurat w polityka umiarkowanego, starającego się od lat budować polsko-ukraińskie mosty ponad istniejącymi podziałami i problemami.

Nihil novi – to samo robili polscy i ukraińscy radykałowie przed II wojną światową, przy czym jedni strzelali do ugodowego ministra Pierackiego, a drudzy przenosili „zbyt miękkich" urzędników i wojskowych jak najdalej od Wołynia oraz dokręcali śrubę represji. Dopiero potem się okazało, że wielu czyniło to ze szczerego i patriotycznego przekonania, niektórzy ze środowiskowego oportunizmu lub zwyczajnej głupoty, ale przynajmniej kilku (zwłaszcza po stronie ukraińskiej) brało potajemnie instrukcje i pieniądze od Abwehry, służb ZSRR, a nawet od obu zewnętrznych patronów naprzemiennie.

Huta Pieniacka, Ukraina. W miejscowości trwają prowadzone przez IPN i ukraińskich partnerów prace poszukiwawcze w miejscach, gdzie mogą znajdować się mogiły zabitych Polaków

Złomowanie zdrowego rozsądku

Warto jednak przestrzec przed szafowaniem dzisiaj podejrzeniami o agenturalność. Ona oczywiście się zdarza, ale znacznie częściej mamy do czynienia z cyniczną rachubą na wyborcze powodzenie albo ze zwykłą, polityczną niekompetencją.

Oto przykład – jeden z wielu, acz dość charakterystyczny – jak łatwo wyrządza się szkody wzajemnym relacjom na poziomie mikro. Jakiś czas temu samorząd ukraińskiej Winnicy zwrócił się do Kielc – od wielu dekad swego miasta partnerskiego – o przekazanie kilkunastu wyeksploatowanych autobusów, które w Polsce i tak miały być wycofywane z ruchu. Chciał w ten sposób wzmocnić odporność komunikacji miejskiej (opierającej się w znacznym stopniu na trolejbusach i tramwajach) na spodziewane deficyty energii elektrycznej powodowane rosyjskimi atakami na infrastrukturę. W innych warunkach pewnie nie byłoby problemu, ale pech chciał, że finalizacja transferu akurat zbiegła się z wybuchem afery. Z okazji do politycznego lansu chętnie skorzystała zaś opozycja w kieleckiej radzie miasta. Zamiast racjonalnej dyskusji odbyła się młócka na emocjonalne epitety, w konsekwencji mer Winnicy wycofał prośbę.

Może poradzi sobie jakoś inaczej, może nie. Jeśli to drugie, to mieszkańcy podolskiego grodu nad Bohem, gdy rosyjska rakieta znowu pozbawi ich prądu i skaże na przymusowy spacer na dłuższym dystansie, raczej pomyślą niezbyt ciepło o Polakach. Także ci (w Winnicy zresztą całkiem liczni), którzy o zbrodniach UPA na Wołyniu słyszeli i bynajmniej nie są z nich dumni. Tymczasem nasze autobusy zamiast na Ukrainę trafią pewnie na złom, a lokalni aktywiści będą się przez jakiś czas obnosić z triumfalnymi minami jako „obrońcy narodowego interesu". Również ci, którzy nie tak dawno chętnie odbywali do Winnicy służbowe wycieczki – i jakoś wtedy nie przeszkadzało im zupełnie, że jedna z ulic od lat nosi imię Stepana Bandery. Owszem, przypomnieli sobie o tym teraz, żeby przedstawić ukraińskie miasto jako siedlisko antypolskich nazistów.

A przecież można było próbować pogodzić humanitarny gest solidarności z pragmatyczną troską o interesy. Na przykład negocjując w zamian za podarunek jakieś nowe akcje promujące same Kielce, ich ofertę biznesową czy edukacyjną, ale też polski punkt widzenia na trudne epizody wspólnej, polsko-ukraińskiej historii. Można było wciągnąć do gry zainteresowanych przedsiębiorców z obu miast, żeby zasponsorowali sprzedaż autobusów za ich realną (niewielką przecież) wartość zamiast darowizny – byłaby i aktywizacja środowiska, i rozbrojenie części oddolnych pretensji. Ale chyba mało komu tak naprawdę zależało, żeby zrobić to dobrze i osiągnąć długofalowe, pozytywne efekty. Wygodniejsza i cenniejsza politycznie była malownicza naparzanka z wzajemnymi oskarżeniami o kłamstwa, manipulacje i bycie wrażą agenturą. Na szczeblu kontaktów międzyludzkich i władz miejskich to szkodliwe i groźne, ale kluczowe i tak będzie to, co się dzieje na poziomie międzyrządowym.

Obniżanie temperatury

Politycy stali się w dużej mierze zakładnikami fali nastrojów niosącej oba narody i nasze państwa ku otchłani. Na szczęście nie wszyscy i nie bezwzględnie. Chwała prezydentowi Karolowi Nawrockiemu za wstrzymanie się z decyzją w sprawie odebrania Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego, przynajmniej chwilowo, bo to jednak dało czas i stworzyło przestrzeń dla dyplomacji. Chwała generałowi Kyryłowi Budanowowi za jego

eprasa.pl 0c056d6efb

FOT. VLADYSLAV MUSIIENKO/PAP

Ciekawe, czy ci polscy politycy, którzy tak chętnie wznoszą dziś okrzyk „nie bądźmy frajerami w relacjach z Kijowem", zdają sobie sprawę, że odgrywają rolę frajera dla kogoś zupełnie innego

misję w Warszawie, bo – niezależnie od tego, z czym rzeczywiście przyjechał i wyjechał – pokazała ona, że naszym partnerom w Kijowie jednak nie jest wszystko jedno, jak ułożą się dalsze relacje. Zadała więc kłam popularnej w pierwszej chwili narracji, jakoby ukraińskie kierownictwo lekceważyło Polskę całkowicie i nieodwołalnie. Chwała premierowi Tuskowi za wezwania do dialogu i jeszcze kilku innym ważnym osobom (w obu państwach), które w krytycznym momencie postanowiły nie eskalować nadmiernie tego konfliktu, lecz szukać kompromisowych rozwiązań. Wbrew taktycznej potrzebie, za to w imię długofalowego, wspólnego interesu.

To, co udało się na razie uzyskać, napawa ostrożnym optymizmem, ale warto pamiętać, że proces załagodzenia obecnego kryzysu zapewne natrafi niebawem na nowe rafy. A nawet jeśli się powiedzie, to będzie tylko pierwszym etapem. I tak pozostanie bowiem po obu stronach negatywny potencjał zaszłości historycznych i współczesnych frustracji, co prawda zepchnięty w hierarchii ważności o parę szczebli w dół, ale łatwy do ponownego uruchomienia. Pozostanie czynnik nieprofesjonalizmu tej czy innej ekipy, ryzyko dysfunkcjonalnych wpływów zewnętrznych, a przede wszystkim – obiektywne sprzeczności interesów politycznych i gospodarczych, dla których pamięć historyczna może być dogodnym instrumentem.

Interesy podlegają negocjacji, ale są warunki. Po pierwsze, odrzucenie zgubnej zasady „wszystko albo nic". Po drugie, powtarzanie sobie do znudzenia, że prawdziwy wróg jest gdzie indziej, a zgoda między Warszawą i Kijowem wzmacnia oba państwa nie tylko w obronie przed Rosją, lecz także w relacjach z kluczowymi partnerami – USA czy Niemcami (a potencjalnie również Wielką Brytanią) – którzy przecież bywają skłonni do stosowania pradawnej taktyki „dziel i rządź". I że dobra kooperacja ośrodków władzy politycznej, samorządów, biznesu, uniwersytetów, III sektora, sił zbrojnych i agencji wywiadowczych zwiększa naszą wspólną atrakcyjność np. dla partnerów nordyckich, na których tak bardzo liczymy (skądinąd słusznie). W ich koncepcjach dotyczących interesów ekonomicznych i bezpieczeństwa regionalnego nie mieści się bowiem nawet zimna wojna Polski z Ukrainą. Jeśli do niej doprowadzimy, to państwa z północnej Europy będą musiały porzucić ambitne i ofensywne strategie kontynentalne. One sobie bez nas poradzą, my bez nich (czy nawet z mocno zredukowaną współpracą) – znacznie gorzej.

Skutki niefrasobliwości

Oby ta świadomość zapobiegała – i w Warszawie, i w Kijowie – tworzeniu i promowaniu koncepcji, w których usiłujemy coś ugrać dla siebie kosztem drugiej strony. U nas są to rachuby na klęskę Ukrainy w wojnie z Rosją, samobójcze ze względów dosyć oczywistych, ale także pomysły bardziej subtelne. Na przykład: dezawuowania ukraińskich aspiracji do członkostwa w zachodnich strukturach integracyjnych. Oczywiście ich sukces wymaga długotrwałego wysiłku samych Ukraińców i trudnych reform, ale Polska powinna ten proces wspomagać, szukając przy tym własnych korzyści inwestycyjnych i handlowych, a nie sabotować w imię interesów krótkoterminowych czy branżowych. Z kolei po stronie ukraińskiej nieraz dało się zauważyć pokusę „stawiania na Niemcy", z oczywistą intencją marginalizowania Polski jako zwornika nowego układu geostrategicznego rodzącego się między Bałtykiem a Morzem Czarnym. To gorsze niż zbrodnia, to błąd i naiwność – warto przestrzegać przyjaciół z Ukrainy tą trawestacją klasyka.

To bardzo konkretne ryzyko – w Unii są bowiem poważne siły, które wolałyby widzieć Ukrainę jako państwo słabe i skorumpowane, pozostające na ich łasce i niełasce, podatne na kolonialną eksploatację. Nie chcą jednak tego powiedzieć wprost, więc byłoby z ich punktu widzenia znakomicie, gdyby to Polacy wystąpili w roli głównej przeszkody na drodze Ukrainy do członkostwa lub nawet zaawansowanych formatów współpracy, a przy okazji do wewnętrznej modernizacji. Ciekawe swoją drogą, czy ci polscy politycy, którzy tak chętnie wznoszą dziś okrzyk „nie bądźmy frajerami w relacjach z Kijowem", zdają sobie sprawę, że odgrywają rolę frajera dla kogoś zupełnie innego.

A przy okazji: misja Budanowa i inne sygnały, że po stronie ukraińskiej następuje pozytywna refleksja, mogą wynikać z dostrzeżenia przez Kijów poważnego ryzyka wizerunkowego, którego wcześniej nie doszacowano. Ukraińcy bowiem niejako na własne życzenie rozreklamowali w świecie ciemne karty w historii UPA, nie tylko ludobójstwo na Polakach, lecz także antysemityzm oraz współpracę z niemieckimi nazistami. Może nie szeroka opinia publiczna, ale przynajmniej kilku ważnych decydentów na Zachodzie otworzyło szeroko oczy ze zdumienia. I to też jest czynnik, który może bardzo realnie wpłynąć na przyszłe szanse rozwojowe Ukrainy, nawet jeśli wróci ona z toczącej się wojny z tarczą.

Ale są też scenariusze znacznie ciemniejsze. Wyobraźmy sobie, że Ukraina jednak wojnę z Rosją przegrywa, a przynajmniej wychodzi z niej sponiewierana, pozbawiona znacznej części terytoriów (nie tylko tych aktualnie okupowanych), bez szansy na odzyskanie porwanych dzieci, a w dodatku musi obserwować, jak państwa Zachodu natychmiast powracają do interesów z moskiewskim reżimem, dając mu paliwo do powojennej odbudowy. Wszak to scenariusz wciąż możliwy. W dodatku dzieje się to po eskalacji sporu z Polską, skutkującej nie tylko gestami symbolicznymi, lecz także realnym blokowaniem dostaw przez nasze terytorium (przecież pojawiły się takie pomysły) przy ostentacyjnym aplauzie sporej części naszych polityków i opinii publicznej.

Rzecz jasna, nie będą to czynniki kluczowe dla ogólnej sytuacji operacyjnej i strategicznej, ale propagandowo da się je w ten sposób sprzedać. Ciąg dalszy łatwo przewidzieć – po stronie ukraińskiej to będzie wyparcie własnych błędów i poszukiwanie winy na zewnątrz, zwłaszcza tam, gdzie najbliżej i najłatwiej. To z kolei oznacza perspektywę represji wobec polskiej mniejszości i pokusę wykorzystania ukraińskiej diaspory w Polsce do działań asymetrycznych, od agresywnej przestępczości po przemoc o charakterze terrorystycznym. Zawodowcy wiedzą, jak to zorganizować. Jeśli zabraknie ochotników, to zawsze można się posłużyć szantażem, także wobec członków rodzin zamieszkałych w Ukrainie. Polałaby się krew, radykałowie dostaliby nowe rachunki krzywd do wyrównywania, a najbardziej skorzystałyby wiadome państwa ościenne. Warto byłoby zawczasu się zastanowić, czy aby na pewno chcemy przybliżać taki rozwój wypadków.

Wniosek: relacje polsko-ukraińskie potrzebują dzisiaj obfitego lania oliwy na wzburzone fale – z obu stron granicy. A przy tym mądrze, nie byle jak. I ze świadomością, że to musi potrwać, zanim zobaczymy trwałe efekty. ©℗

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold
Sokała
wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP

eprasa.pl 0c056d6efb

Świat

FOT. SOPA IMAGES LIMITED/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Wiktar Babaryka – białoruski bankier i polityk, w latach 2000–2020 prezes Biełhazprambanku, w 2020 r. niedoszły kandydat na prezydenta i faworyt wyborów, w latach 2020–2025 więzień polityczny z wyrokiem 14 lat obozu, uwolniony dzięki staraniom administracji Donalda Trumpa; obecnie na emigracji w Niemczech

Nie brałem pieniędzy z Rosji

Dla Łukaszenki od początku cel był jeden: zachowanie władzy. Po 2020 r. zachował ją dzięki Rosji, co czyni z niego dłużnika. Spłacał dług współudziałem w agresji na Ukrainę

Z Wiktarem

Babaryką

rozmawia Michał Potocki

Jak wyglądał dzień, w którym zwolniono pana z więzienia?

Trzy dni wcześniej, w środę, przeszedłem niezbyt udany zabieg usunięcia zęba. W warunkach więziennych trudno liczyć na udany zabieg.

Usuwanie zęba i bez tego nie jest przyjemne.

W czwartek pojawiły się problemy, w piątek oświadczono mi, że najpewniej przewiozą mnie do szpitala poza kolonią karną. W nocy z 12 na 13 grudnia 2025 r. obudzono mnie i powiedziano, żebym się zbierał. Moje rzeczy były już spakowane.

Wiedział pan, że trwają rozmowy o pana uwolnieniu?

Nie. Wiedziałem o ułaskawianiu innych więźniów, ale uważałem, że mnie uwolnią w ostatniej kolejności, jeśli w ogóle. Jeszcze latem przenieśli mnie z PKT, pomieszczenia typu cela – to takie więzienie w więzieniu, bardziej rygorystyczne – do tzw. strefy zamieszkania. Wtedy się dowiedziałem o uwolnieniu Siarhieja Cichanouskiego (męża Swiatłany, niedoszłego kandydata na prezydenta w 2020 r. – red.). We wrześniu była kolejna fala ułaskawień. Nikt mnie nie informował, że cokolwiek dzieje się w mojej sprawie, więc tamtej nocy byłem pewien, że chodzi o szpital. Zaprowadzili mnie do mikrobusu. Nie byłem jedyny, co wcześniej też się nie zdarzało.

Był pan izolowany od innych politycznych.

Przywieźli jeszcze pięć osób. Założyli mi worek na głowę i kajdanki. Pomyślałem, że zmierzamy do innej kolonii, chociaż zwykle odbywało się to koleją. Zorientowałem się, że jedziemy na południe. Pomyślałem, że do Homla, ale jechaliśmy zbyt długo.

Na granicy z Ukrainą nie dostał pan paszportu.

Żadnych dokumentów nie dostałem, poza kartką A4 z moim zdjęciem i informacją, bez podpisu i pieczątki. Nie dali mi nawet zaświadczenia o zwolnieniu z więzienia.

Bez pieczątki to nie dokument.

W zasadzie można by to ocenić jako ucieczkę z więzienia. Nie mam oficjalnego potwierdzenia, że zostałem uwolniony i legalnie wyjechałem z kraju.

Nie dostał pan paszportu, wielu innych wyrzucanych za granicę więźniów też nie. Za to Andrzej Poczobut wyjechał z paszportem w ręku. Skąd ta różnica?

Trudno znaleźć logikę w działaniach białoruskich władz. Brak dokumentów to sygnał, że mam już nie wracać. Gdybym teraz pojawił się na granicy, mogliby mnie zatrzymać za jej nielegalne przekroczenie.

Od Ukrainy i Polski, przez którą wjechał pan do strefy Schengen, też wymagało to prawniczej łamigłówki.

Jestem wdzięczny rządom obu państw, bo procedura trwała krótko. Jakiś mechanizm znaleziono.

Wymagano od pana wcześniej napisania do Alaksandra Łukaszenki prośby o ułaskawienie?

Chyba nie. Był taki działacz Juryj Waskrasienski (zbierał podpisy pod kandydaturą Babaryki, po zatrzymaniu przeszedł na stronę władz – red.). W 2021 r. przyjechał do mnie do kolonii z dziwnym przesłaniem. „Wiktarze Dzmitryjewiczu, może gdyby ktoś za pana zapłacił 10 mln dol., to byłoby inaczej". Drugie spotkanie miałem z nie mniej dziwną figurą, Ramanem Pratasiewiczem (dziennikarz porwany z samolotu, który przymusowo lądował w Mińsku, złamany podczas śledztwa, przeszedł na stronę reżimu – red.). To był grudzień 2024 r. Powiedział, że pewnie nie zamierzam napisać wniosku o ułaskawienie, ale przychodzi z pozdrowieniami od mojej córki i proponuje nagrać jakąś wiadomość, napisać do niej list. Ja przez trzy lata byłem w reżimie incomunicado, bez kontaktu ze światem zewnętrznym.

Poza zapłatą padały jakieś inne warunki?

Żadnych. Zresztą trudno i te pieniądze nazwać warunkiem. Waskrasienski tak tego nie przedstawił. Powiedział, że gdyby ktoś zapłacił, to może byłoby inaczej.

Łukaszenka czasem oczekuje od więzionych za przestępstwa gospodarcze „pokrycia szkód" w zamian za wolność. Pan formalnie też siedział z paragrafów gospodarczych.

Istnieje taki mechanizm prawny. Przy czym wszyscy rozumieli, że w moim wyroku nie chodzi o sprawy ekonomiczne.

Wspomniał pan, że wiedział o innych ułaskawianych więźniach. Skąd? Jak się pan dowiadywał o przebiegu protestów w 2020 r. albo o rosyjskiej inwazji na Ukrainę w 2022 r.?

Zależy, jak się siedzi. W normalnych warunkach są wokół ciebie ludzie, jest telewizor i radio. Do rozpoczęcia wojny odwiedzali mnie adwokaci. Przy czym sześciu kolejnych prawników pozbawiono licencji. Potem odebrano mi prawo do takich spotkań. Gdy trafiałem do PKT albo izolatki, jedynym źródłem wiedzy mogły być strzępki przypadkowo podsłuchanych rozmów. Dostęp do informacji był ograniczony – z dwoma wyjątkami. Usłyszałem o śmierci Aleksieja Nawalnego oraz o epopei Jewgienija Prigożyna i jego marszu na Moskwę.

W normalnych warunkach był telewizor.

W soboty i niedziele wieczorem wręcz zmuszali do oglądania BT (reżimowa stacja – red.). Białoruską telewizję można było oglądać dowolnie.

Gdyby wybory w 2020 r. zostały uczciwie przeprowadzone, byłby pan faworytem. Miał pan plan, jak w wieczór wyborczy 9 sierpnia obronić wyniki głosowania?

Część tego planu zrealizowano. Chcieliśmy ustalić prawdziwe wyniki – i tak się w zasadzie stało. Mieliśmy instrumenty do zorganizowania czegoś na kształt exit poll. Ale w tygodniach przed moim zatrzymaniem 18 czerwca mieliśmy inne zadania. Trzeba było znaleźć ludzi do grupy inicjatywnej, zebrać podpisy, zweryfikować je na własną rękę, żeby nie dać pretekstu do ich odrzucenia. Opracowanie planów na 9 sierpnia zostawialiśmy sobie na okres po zarejestrowaniu kandydatury, co nigdy nie nastąpiło.

Zebrał pan prawie 500 tys. podpisów na 6,9 mln wyborców. Skąd ten entuzjazm?

Pierwsze poważne uderzenie rząd wyprowadził sam przeciwko sobie. Chodziło o stosunek do pandemii.

eprasa.pl 0c056d6efb

Ludzie się bali, ale władze mówiły, że nie widzą wirusa w hali hokejowej, a traktor i wódka to najlepsze panaceum. Tak cyniczne splunięcie w twarz wywołało szok. Naród uznał, że musi sam walczyć z zagrożeniem, zrozumiał siłę społeczeństwa obywatelskiego. W tym momencie pojawili się ludzie z ofertą zmiany systemu. Poczucie oddolnej siły i pogardy ze strony państwa stworzyło popyt na alternatywnych liderów.

Był pan pierwszym od lat 90. przedstawicielem elit spoza tradycyjnej opozycji, który rzucił wyzwanie Łukaszence. Wysunięcie pańskiej kandydatury, prezesa dużego banku, wielu interpretowało jako dowód na rozczarowanie elit ekonomicznych reżimem, który do pewnego momentu pozwalał normalnie żyć i zarabiać, a potem naruszył tę nieformalną umowę społeczną. Zgadza się pan z taką interpretacją?

Bank, którym miałem honor kierować, zajmował się obsługą małego i średniego biznesu. Niepaństwowego sektora gospodarki.

Od państwowego były banki państwowe.

Naszą misją – która, nawiasem mówiąc, do tej pory obowiązuje – była budowa klasy średniej. Pewne parametry dawały nam pozycję białoruskiego banku nr 1, ale nie byliśmy częścią elity rządzącej. W 2020 r. miała miejsce rewolucja drobnoburżuazyjna. Ma pan rację, rozczarowanie biznesu władzami było ogromne. Białoruski biznes zawsze miał swoją specyfikę. Może z wyłączeniem branży IT, był on silny nie produkcją, lecz umiejętnością radzenia sobie w tym systemie, zdolnością drapania się lewą nogą po prawym uchu. Traciło się mnóstwo energii na osiągnięcie minimalnego efektu. Państwowy biznes nie był aż tak niezadowolony. Natomiast moja decyzja była w 100 proc. osobista. W działalności kulturalnej i humanitarnej walczyliśmy, by władze przynajmniej nie przeszkadzały, a i tak zderzaliśmy się ze szklanym sufitem. Urzędnicy często nie chcieli słyszeć o współpracy z nami. Zrozumiałem, że to ślepa uliczka, a żeby przebić ten sufit, należy zmienić system zarządzania państwem. Z nikim swojego startu nie konsultowałem.

Włącznie z Gazpromem i Gazprombankiem, rosyjskimi właścicielami Biełhazprambanku?

Włącznie z naszymi akcjonariuszami. Postawiłem ich przed faktem dokonanym. Oczywiście tuż przed tym, jak zamierzałem ogłosić start, jako odpowiedzialny menedżer poinformowałem, że podjąłem taką decyzję. Zaproponowałem dwa warianty: urlop na czas kampanii albo odejście z pracy. Urlop nie wchodził w grę. 12 maja zostałem zwolniony. Rozumiem tę decyzję.

Druga interpretacja była taka, że skoro przez 20 lat kierował pan bankiem należącym do Gazpromu, to był pan kandydatem Gazpromu. Czyli albo w imieniu Kremla miał pan postraszyć Łukaszenkę, albo stać się nowym Łukaszenką.

Z mojego punktu widzenia to logiczna wersja. Człowiek przepracował 25 lat w banku należącym do struktur związanych z Gazpromem, a przez 20 lat tym bankiem kierował. Tyle że logika zakładająca, że jestem rosyjskim projektem, nie uwzględnia naszej bazy klientów. Po co rosyjski bank hodował białoruską klasę średnią? Nikt sobie takiego pytania nie zadaje. Co więcej, projekty pozabankowe, którymi się zajmowałem, były nakierowane wyłącznie na wsparcie białoruskiej kultury.

Właściwie dlaczego Gazprom pozwalał panu na taki mecenat?

Przekonanie rosyjskich akcjonariuszy, na co im to potrzebne, nie było proste.

I na co im to było potrzebne?

Znajdowaliśmy argumenty. Rozwój małego i średniego biznesu był dla nas zwyczajnie opłacalny. Gdy system bankowy przynosił średnio 4,5 tys. dol. na pracownika, efektywność Biełhazprambanku wynosiła 42 tys. dol. Stopa zwrotu z kapitału opiewała na 21 proc. w twardej walucie. Mało który bank mógł się pochwalić takimi wynikami. A skoro mieliśmy przekonujące argumenty, pozwalano nam na zajmowanie się kulturą. Inwestor wchodzący na nowy rynek chce budować pozytywny wizerunek, a nie ma na to lepszego sposobu niż projekty związane z kulturą kraju przyjmującego inwestycję. Te dwa argumenty – zysk i wizerunek – działają w każdych warunkach. Przy czym nasze inicjatywy w tej sferze rozpoczęły się na długo przed 2014 r., gdy Rosja stała się tą Rosją, jaką jest dzisiaj.

Sponsorował pan projekty, które drażniły rosyjskich nacjonalistów. Agencja Regnum oskarżała Łukaszenkę o dyskryminację języka rosyjskiego tylko przez to, że w mińskim metrze pojawiły się tablice zapisane białoruską łacinką.

Nasze projekty mogły drażnić rosyjskich szowinistów. Wspieraliśmy artystów szkoły paryskiej, wśród których było wielu Żydów, co szowinistom też się nie podobało. W 2014 r. na otwarciu wystawy „1000 lat białoruskiej sztuki" powiedziałem „Żywie Biełaruś" (niech żyje Białoruś, tradycyjny okrzyk środowisk niezależnych – red.). Wtedy akcjonariusze się zjeżyli i odbyliśmy parę poważnych rozmów. Z drugiej strony unikaliśmy projektów, które mogły wywołać negatywną reakcję. Ale cały czas rozwijaliśmy inicjatywy osadzające białoruską kulturę w europejskim kontekście. Otwieraliśmy Białoruś na świat.

Szukał pan w 2020 r. wsparcia w Rosji?

Nie, i to różniło naszą ekipę od innych. Przez lata na tyle dobrze zarabiałem, że mogłem sobie pozwolić pokryć z własnych środków wydatki rzędu 100 tys. dol., czyli na poziomie, na który pozwalało prawo. Przed moim zatrzymaniem o zewnętrznym finansowaniu nie było mowy.

> Ludzie się bali, ale władze mówiły, że traktor i wódka to najlepsze panaceum. Poczucie oddolnej siły i pogardy ze strony państwa stworzyło popyt na alternatywnych liderów

A potem?

Nie wiem, byłem już w miejscach odosobnienia.

Swiatłana Cichanouska mówiła mi, że po 9 sierpnia przedstawiciele pana sztabu jeździli do Moskwy na konsultacje, choć niczego nie uzyskali. Może pan o tym opowiedzieć?

Nic o tym nie wiem, bo w tym nie uczestniczyłem. O wszystko, co się działo po 18 czerwca, trzeba pytać bezpośrednich uczestników.

Pan się tym nie interesował po wyjściu na wolność?

Nie chcę się bawić w głuchy telefon i relacjonować opowieści innych ludzi. Trzeba ich pytać.

Drugą przyczyną podejrzeń były pana oceny aneksji Krymu, wojny rosyjsko-ukraińskiej, białoruskich ochotników walczących po stronie Ukrainy w Pułku Kastusia Kalinouskiego. Niejasne wypowiedzi na konferencji prasowej w Czernihowie, tuż po przekroczeniu granicy z Ukrainą.

Większość uczestników tamtej konferencji przez dłuższy czas znajdowała się w reżimie incomunicado. Ludzie, którzy nas oceniają, przez te sześć lat byli na wolności, a dla nas to była pierwsza–druga doba po wyjściu z więzienia. Wiedziałem, że jest wojna, a Rosja napadła na Ukrainę, ale nie wiedziałem, jaki jest stan debaty publicznej, na czym polega rola Białorusi, jakie jest stanowisko sił demokratycznych. Wiedziałem tylko, jakie było moje stanowisko w 2020 r.

Mógł pan nie mieć zdania o Pułku Kalinouskiego, ale Krym został anektowany w 2014 r. To sporo czasu na wyrobienie sobie opinii.

Unikałem odpowiedzi na pytanie o Krym zarówno w 2020 r., jak i dzień po uwolnieniu. Po pierwsze, nie szkodzić. Po drugie, nie przekładać własnej odpowiedzialności na cudze plecy. Uznałem, że nazajutrz po uwolnieniu neutralność to najlepszy sposób odpowiedzi na takie pytania.

Neutralność nie oznacza stawiania znaku równości między ofiarą a agresorem?

Unikanie odpowiedzi oznacza, że żadnych ocen nie dawałem, w tym nie stawiałem znaku równości. Po prostu nie chciałem odpowiadać na te pytania.

Tego samego dnia udzielił pan wywiadu Wołodymyrowi Zołkinowi, który dość brutalnie o to pytał. Polscy czytelnicy go nie znają, ale Zołkin przeprowadza wywiady wyłącznie z rosyjskimi żołnierzami, którzy trafili do niewoli. Gdy to zobaczyłem, pomyślałem, że Ukraińcy zastawili na pana pułapkę. Symbolicznie zrównali z rosyjskimi jeńcami.

Trudno mi to w ten sposób oceniać. Mogę przedstawić swoje odczucia. Niespodziewanie znalazłem się w kraju prowadzącym wojnę. Ludzie, którzy nas przyjęli, zaprowadzili mnie gdzieś i powiedzieli, że trzeba porozmawiać. Uznałem, że rozumieją, dokąd mnie prowadzą. Uważałem, że kryje się za tym jakiś dobry cel.

A teraz jak pan na to patrzy?

Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowych. Mogę dopuszczać wariant, że to był podstęp. Także dlatego unikałem odpowiedzi na ostre pytania. Najlepiej byłoby wtedy odmówić wywiadów. Ale poza tym błędem sądzę, że zachowałem się prawidłowo.

Żebym dobrze zrozumiał: zaprowadzono pana do Zołkina i kazano z nim rozmawiać?

Powiedzieli „idziemy". Drzwi się otworzyły. W pokoju były dwie osoby: Zołkin i jeszcze jakaś dama. To było trochę dziwne. Nikt nie pytał, czy chcę rozmawiać. Niespecjalnie wiedziałem, co mówić, a pytania były ostre. Uczucie wdzięczności wobec gospodarzy nie pozwoliło mi odmówić.

Po tym wywiadzie Uładzimir Nieklajeu, opozycjonista i literat, napisał wiersz, m.in. o panu: „Babaryku nie tawarysz: / Toj nie wiedaje, czyj Krym?... / Z im ni kawu nie zaparysz – / Ni reżym nie skiniesz z im. / Ale jak u swiecie kryku, / Dzie u duecie ryk dy wisk, / Razabracca Babaryku / Czyj toj Krym? I czyj toj Minsk?" (Jam nie kumpel Babaryki, który nie wie, czyj jest Krym. Kawy z nim wszak nie zaparzysz, władzy nie obalisz też. Ale jak na świecie krzyku, gdzie w duecie ryk i pisk, ma zrozumieć Babaryka, czyj jest Krym i czyj jest Mińsk?).

A jakie jest pytanie? Nie znam tego wiersza.

Nie uważa pan, że konferencja i wywiad w Czernihowie panu zaszkodziły?

Nie jestem człowiekiem bezbłędnym. Zrobiłem, co zrobiłem. Powinienem był odmówić wywiadu. Postąpiłem słusznie, unikając odpowiedzi. Pomogło mi to czy zaszkodziło? Nie wiem. W życiu raz jest się bardziej skutecznym, a raz mniej. Działam nie po to, by inni mnie dobrze oceniali. Ważniejsza jest dla mnie moja samoocena i ocena tych, którzy mi ufają. Niaklajeu nigdy nie był moim zwolennikiem, ma do tego prawo. Bardziej niż jego wiersz zmartwiłoby mnie, gdyby rozczarowali się mną ludzie, którzy w 2020 r. zamierzali na mnie głosować. ▷

eprasa.pl 0c056d6efb

Gdyby po mnie do tego pokoju wszedł Zołkin i zadał panu te same pytania, na które odpowiedzi pan wtedy unikał, odpowiadałby pan bardziej wprost?

Nie rozmawiałbym już z panem Zołkinem.

Jakie cele stawia sobie obecnie reżim w grze między Władimirem Putinem, Donaldem Trumpem a Europą?

Dla Łukaszenki od początku cel był jeden: zachowanie władzy. Inne cele nie istnieją. Po 2020 r. zachował władzę dzięki Rosji, co czyni z niego poważnego dłużnika. Spłacał ten dług współudziałem w rosyjskiej agresji. Trzeba mu przy tym oddać, że udało mu się nie zostać bezpośrednio wciągniętym do wojny. Wbrew niektórym komentatorom zawsze uważałem reżim za skuteczny w osiąganiu celu.

Skoro utrzymuje władzę od 32 lat...

Trudno twierdzić, że system jest nieefektywny. Sami Białorusini na pewno wojny nie chcą. Reżim stara się ich przekonać, że nie ponosi winy za to, iż temat wojny pojawił się w porządku dziennym. Na razie udaje mu się opierać bezpośredniemu zaangażowaniu. Pytanie, czy siły zewnętrzne do tego nie sprowokują albo nie zmuszą. Proszę zwrócić uwagę, że w 2022 r. reżim przeprowadził referendum o zmianie konstytucji. Wykreślono z niej zapisy o statusie bezatomowym Białorusi i o jej dążeniu do neutralności.

Głosowanie przeprowadzono w pierwszą niedzielę po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

Białoruś zapłaciła tym za 2020 r., dając zgodę na wciągnięcie nas w agresję.

Czy w tym kontekście jest o czym z Łukaszenką rozmawiać, jak robi to Trump i jak proponuje Maryja Kalesnikawa, dawna szefowa pana sztabu?

Innej drogi nie ma. Między Rosją a Ukrainą trwa wojna, ale wszyscy rozmawiają o negocjacjach. Najważniejsze, by zapobiec wejściu Białorusi do wojny. Celem rozmów na szczeblu międzynarodowym powinno być powołanie mechanizmu kontroli zapobiegającego prowokacjom i wyjaśniającego je, jeśli już się zdarzą.

Wynikałoby z tego, że interesy Zachodu i Łukaszenki w tym konkretnym punkcie są zbieżne.

Kiedy pojawia się punkt styczny, pojawia się też szansa.

Krytycy kontrargumentują, że z Łukaszenką nie ma sensu rozmawiać, bo i tak oszuka albo jest rosyjską marionetką.

Dlatego mówię o międzynarodowym mechanizmie monitoringu. Nie chodzi o legitymizację reżimu, tylko o zapobieżenie katastrofie niespotykanych rozmiarów, w jaką przerodziłoby się wejście Białorusi do wojny. ©℗

Niespieszne duszenie Kuby

Czy reżim w Hawanie jest następny na liście celów Donalda Trumpa? Amerykańskie media spekulują, że tego chciałby sekretarz stanu Marco Rubio, tymczasem sytuacja na odizolowanej sankcjami od świata wyspie zaczyna graniczyć z kryzysem humanitarnym

Mariusz

Janik

W poniedziałek zatrzęsło się dno morza między północnozachodnią Kubą, Meksykiem a Florydą. Trzęsienie miało magnitudę 6,1 st. w skali Richtera. W odległym o dwie godziny jazdy samochodem od Hawany mieście Pinar del Rio, w zachodniej części wyspy, wybuchła panika. – Ludzie wybiegali na zewnątrz, każdy wystraszony. Nie potrafię nawet tego wyjaśnić. Nie przypominało żadnego trzęsienia ziemi, jakiego doświadczylibyśmy tu wcześniej – opowiadała 44-letnia Yusmila Hernandez reporterom agencji Reuters. Sejsmolodzy potwierdzają: podobnie destrukcyjnych wstrząsów wyspa doświadczyła ostatni raz w 1880 r.

Przez kilka dni, które upłynęły od kataklizmu, nie zgłoszono na wyspie żadnych ofiar ani znaczących zniszczeń. Rzecz w tym, że wyspiarze od dekad nie mieli pieniędzy, żeby remontować czy wzmacniać swoje niszczejące budynki. A na dodatek od kilku miesięcy żyją w stanie zbliżającym się do katastrofy humanitarnej, którą trzęsienie ziemi mogło jedynie pogłębić.

Dramatyczna sytuacja na wyspie

„Restrykcje na dostawy paliw wprowadzone na początku 2026 r. w połączeniu z obecnym zacieśnieniem sankcji bezpośrednio szkodzą Kubańczykom, w szczególności tym najsłabszym. Dzieci umierają, bo lekarze nie mają dostępu do podstawowych artykułów medycznych i lekarstw. To nie do zaakceptowania" – napisał w specjalnym oświadczeniu wydanym na początku tego tygodnia Volker Turk, wysoki komisarz ONZ ds. praw człowieka. „Tak ciężkie sankcje są wbrew podstawowym zasadom międzynarodowych reguł wynikających z praw człowieka. Wzywam do ich natychmiastowego zniesienia" – dodał.

Rzadko spotykany, radykalny ton oświadczenia biura wysokiego komisarza, uzasadniają dramatyczne dane. Według statystyk podwoiła się liczba zgonów niemowląt – do 9,9 na 1 tys. urodzeń, spadł z kolei wskaźnik przeżywalności dzieci z nowotworami – z 85 do 65 proc. Wyłączenia prądu i brak światła sprawiły, że kolejka oczekujących na operacje w szpitalach wydłużyła się do 96 387 osób (w tym 11 193 nieletnich). Wśród pacjentów znajdujących się w szczególnie trudnej sytuacji jest 16 tys. osób oczekujących na radioterapię i niemal 3 tys. wymagających dializowania.

Statystyki dotyczące służby zdrowia stosunkowo najłatwiej zebrać, ale kryzys dotyka wszystkich sfer życia. Reporter brytyjskiego dziennika „The Guardian", który na początku czerwca podsumowywał sytuację na wyspie, sfotografował mieszkańców Hawany siedzących na ciemnych ulicach przy latarkach telefonów komórkowych lub ogniskach. Prąd jest dostępny w najlepszym razie przez kilka godzin w ciągu dnia. Na stacje benzynowe już od miesięcy nikt nie zagląda – zbiorniki są puste. Gaz można kupić w butlach, ale ceny poszybowały tak, że jest dobrem dostępnym dla nielicznych.

– Od czterech dni jesteśmy bez światła – powiedział brytyjskiemu reporterowi napotkany lekarz. – I bez elektryczności. Woda staje się problemem. I wszędzie są komary – wyliczał. Temperatura w ciągu dnia oscyluje między 30 a 40 st. C, wilgotność powietrza sięga 75 proc. Jak podkreślił w swoim oświadczeniu Turk, lada chwila zacznie się sezon huraganów. Meteorolodzy zapowiadają, że wkrótce świat odczuje konsekwencje cyklicznie powracającego zjawiska El Niño, tym razem w wersji turbo. W takich warunkach na ewentualną epidemię chorób tropikalnych nie trzeba będzie długo czekać.

Pogłębiający się kryzys wypłoszył najważniejszych klientów wyspiarzy – turystów. Reporter Reutersa, który w ostatnich dniach wędrował po Hawanie, spotkał ich zaledwie sześciu, przede wszystkim przybyszy z krajów Ameryki Łacińskiej, dla których niedobory nie są tak straszne jak dla Europejczyków czy Azjatów. W 2018 r. branża turystyczna doświadczyła gwałtownego załamania wraz z nadejściem COVID-19. Jeszcze w 2018 r. Kuba przyciągnęła 4,75 mln gości, a w latach po pandemii – ledwie nieco ponad 2 mln turystów. W ostatnich miesiącach hotele albo zawieszały działalność, albo przeszły w tryb awaryjny. Na wyspę latają nieliczne linie lotnicze. Znaczna część przedsiębiorstw zagranicznych, które w ciągu kilku ostatnich dekad zaryzykowały inwestycje na wyspie, znalazła się w impasie. Dodatkowo państwowy bank ogłosił, że karty kredytowe Visa i Mastercard nie będą działać, co jest najbardziej dotkliwe właśnie dla biznesu i turystów. Kubańczycy spodziewają się, że rychło w niewielkich sklepach państwowej sieci Mipymes zabraknie żywności.

Reżim na kroplówkach

Reżim w Hawanie długo żył na kredyt. Przed laty pożyczkodawcą był Kreml, po upadku Związku Radzieckiego Fidel Castro musiał jednak szukać nowego patrona. I stosunkowo szybko go znalazł w Wenezueli.

Gdy w 1997 r. Hugo Chavez lądował w Hawanie, był niedawno wypuszczonym na wolność współautorem nieudanego zamachu stanu w Wenezueli. Rok później miał wygrać wybory prezydenckie i niemałą część potencjału swojego kraju udostępnić sędziwym rewolucjonistom z Kuby. Dla latynoamerykańskiej lewicy Kuba była symbolem wyrwania się spod wpływów Waszyngtonu i bastionem geopolitycznej wolności (jakkolwiek złudnej). Wenezuela zasilała reżim Castro ropą i czasem pieniędzmi, Kuba odwdzięczała się Chavezowi zastępami lekarzy i wojskowych oraz rewolucyjnym błogosławieństwem. Następca Chaveza, Nicolas Maduro, do ostatnich chwil podtrzymywał ten sojusz, a wianuszek ochroniarzy, którzy próbowali zapobiec porwaniu Wenezuelczyka przez amerykańskich komandosów na początku stycznia 2026 r., stanowili Kubańczycy.

Wenezuelskie władze niemal natychmiast po uprowadzeniu Madury do USA odcięły Kubańczyków od ropy i pieniędzy. 29 stycznia prezydent Stanów Zjednoczonych dokręcił śrubę: na mocy rozporządzenia wykonawczego Biały Dom uznał Kubę za „niezwyczajne, wyjątkowe zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego USA", co oznaczało, że każdy kraj czy podmiot dostarczający na wyspę ropę naftową zostanie objęty restrykcjami, w przypadku państw – dotkliwymi cłami. Od tamtej pory przez ową blokadę przecisnął się podobno tylko jeden rosyjski tankowiec.

W ślad za tym szły kolejne restrykcje nakładane zarówno na instytucje, jak i poszczególnych funkcjonariuszy. Na liście znalazły się m.in. ministerstwo spraw wewnętrznych, ministerstwo rewolucyjnych sił zbrojnych, prześladujące opozycję Komitety Obrony Rewolucji, służby wywiadowcze i policyjne. W zeszłym tygodniu trafili na nią prezydent Miguel Diaz-Canel wraz z żoną i pasierbem oraz syn i wnuk Raula Castro. Ten ostatni w maju został oskarżony przez prokuratora generalnego USA o zestrze-

eprasa.pl 0c056d6efb

FOT. YAMIL LAGE/AFP/EAST NEWS

Hawana,
9 czerwca 2026 r.

lenie w 1996 r. dwóch amerykańskich samolotów, co doprowadziło do śmierci czterech osób na ich pokładzie. Niezbyt się chyba tym przejął – ledwie tydzień temu z okładem publicznie obchodził 95. urodziny, fetowany przez liczne grono aparatczyków. Połączył je z rocznicą powołania do życia resortu spraw wewnętrznych.

Przy akompaniamencie cacerolazo

Uderzające, że mimo tej ciągnącej się już niemal pół roku konfrontacji wciąż nie ma pewności, co chciałyby osiągnąć obie jej strony. Domysły na temat celów Waszyngtonu snuł w wywiadzie dla hiszpańskiego portalu elDiario.es Diaz-Canel. „Oni stawiają na któryś z trzech scenariuszy. W pierwszym poprzez podduszanie gospodarcze chcą sprowokować społeczne niepokoje, które stworzą im możliwość interwencji pod pretekstem akcji humanitarnej. W drugim będą kontynuować wymuszony dialog z Kubą, w warunkach maksymalnej presji, aby przejąć kubańską gospodarkę, okupować kraj gospodarczo, przez co potem będą mieli możliwość sprowokowania zmiany systemu politycznego, co jest oczywistym celem Stanów Zjednoczonych. Trzeci scenariusz to agresja wojskowa" – wyliczał kubański prezydent.

Deklaracje intencji Trumpa niewiele wnoszą. „Być może uda nam się przejąć Kubę w przyjazny sposób" – stwierdził przy jednej z okazji. „Jeśli nie uzgodnimy jakiegoś rozwiązania i nie wprowadzą radykalnych zmian, przegrają" – zapowiedział przy innej. „Interwencja nie będzie potrzebna" – zapewniał. Dosadniejszy w deklaracjach jest sekretarz stanu Marco Rubio. „Dyplomacja jest preferowaną przez nas formułą, ale będę z wami szczery, prawdopodobieństwo, że poprzez dyplomację coś załatwimy, biorąc pod uwagę, z kim mamy do czynienia, nie jest wysokie" – powiedział dziennikarzom pod koniec maja na konferencji, podczas której przypomniał też, że Biały Dom uznaje Kubę za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego USA.

O tym, że jakiś dialog się toczy, wiadomo oficjalnie od marca. Spekuluje się, że Amerykanie krążą wokół tematu odzyskania mienia przejętego przez rewolucjonistów Fidela wraz z władzą na wyspie. Wiadomo, że Hawanę odwiedził John Ratcliffe, szef CIA. Amerykanie twierdzą, że Kubańczycy zaakceptowali propozycję wartej 100 mld dol. pomocy humanitarnej. Trudno jednak mieć złudzenia co do potencjalnych zmian politycznych, skoro po drugiej stronie stołu wyspę reprezentował wnuk Raula, Raul Guillermo Rodriguez Castro – formalnie pułkownik w kubańskim MSW, a nieformalnie jeden z rozgrywających na wyspie, mający zapewne silniejszą pozycję niż Diaz-Canel i wielu innych aparatczyków. Pamiętając o wpisaniu familii Castro na listę sankcyjną oraz przygotowaniu wspomnianego aktu oskarżenia wobec obecnego patriarchy rodu, można założyć, że dialog nie posuwa się do przodu. – Obie strony wydają się okopane na swoich pozycjach – lapidarnie podsumował to, co wiadomo, Michael Bustamante, ekspert ds. kubańskich z University of Miami.

Kubańczycy zapewne pamiętają, że Waszyngton „prowadził dialog" z Maduro, i to do ostatnich chwil przed rajdem na pałac prezydencki w Caracas, a także „rozmawiał" z reżimem w Teheranie jeszcze na krótko przed tym, jak izraelskie i amerykańskie rakiety spadły na irańskich dygnitarzy, ich instalacje nuklearne i wojskowe. Skoro zatem lotniskowiec USS „Nimitz" wyruszył z dotychczasowej lokalizacji u wybrzeży Jamajki w okolice południowego wybrzeża Kuby, a nad wyspą regularnie widywane są samoloty zwiadowcze USA, są powody do niepokoju. Jeśli wierzyć mediom, pod Hawaną w ostatnich tygodniach rozmieszczano kolejne stanowiska obrony przeciwlotniczej. Państwowa telewizja – dla tych, którzy są jeszcze w stanie odebrać jej sygnał – nadaje zaś relacje z wojskowych manewrów.

Oczywiście Biały Dom może obstawiać oddolny bunt przeciw reżimowi (do tego samego zachęcał Irańczyków). Na wyspie niewątpliwie jest wielu niezadowolonych. Wieczorami z budynków w Hawanie dobiega cacerolazo – kanonada uderzeń w garnki i patelnie, która ilustruje frustrację Kubańczyków, a jednocześnie pozwala zachować anonimowość.

„Ludowe powstanie przeciw amerykańskiemu agresorowi", którym straszą dygnitarze z Hawany, jest zapewne czczą pogróżką, ale antyreżimowy zryw też można włożyć między bajki. Na wyspie nie istnieją struktury opozycji, nie ma liderów, którzy mogliby taki antycastrowski bunt przeprowadzić, a dla rezerwistów – którym pewnie bliżej do cywilów niż do zawodowych wojskowych – brakuje broni, wyposażenia, paliwa. Prawdopodobnie nie mają też przesadnej determinacji do działania.

Zawodowe struktury mundurowe stoją murem za reżimem. „W obrębie niewielkich regularnych sił zbrojnych morale wciąż jest bardzo wysokie" – przyznawał w rozmowie z „The Guardian" Hal Klepak, ekspert Royal Military College of Canada. Ale nic dziwnego, wszak większość familii Castro paraduje dziś w mundurach rozmaitych formacji, a w czasach swojej prezydentury Raul Castro zadbał o to, by czołowych generałów wciągnąć na szczyty władzy – do politbiura partii czy gabinetów rządowych. Kuba uchodzi dziś za niedbale zakamuflowaną militokrację.

Prezydenckie ambicje

Być może chaotyczny charakter negocjacji z reżimem w Hawanie jest efektem rozbieżności na najwyższym szczeblu w Waszyngtonie. „W ostatnich dniach swojej kampanii prezydenckiej w 2016 r. ówczesny senator Marco Rubio stanął przed życzliwym sobie tłumem na debacie w Miami i określił swój program dla Kuby jako «wolne wybory, wolne media i wolność słowa»" – przypomniała niedawno stacja CNN. „Jego adwersarz, Donald Trump, rzucił jedynie, że chciałby zawrzeć ▷

eprasa.pl 0c056d6efb

«dobry deal» z Castro. Rubio wyśmiał tę odpowiedź, a tłum nagrodził go aplauzem" – dorzuciła CNN.

W tej anegdocie zaszyte jest znacznie więcej znaczeń niż mogłoby się wydawać. Rubio jest synem kubańskich imigrantów, ale bynajmniej nie uciekinierów z kraju Castro (choć sam lubił tak ich prezentować) – jego rodzice wyjechali do USA na dwa lata przed rewolucją. Środowisko, w którym się wychowywał, kształcił i budował karierę polityczną, to jednak żarliwie antycastrowska, milionowa społeczność Kubańczyków, dla których odbicie ojczyzny z rąk Castro byłoby niczym powrót do ziemi obiecanej (aczkolwiek dzieci imigrantów urodzone już w USA i tam wychowane pałają do tej wizji znacznie mniejszym entuzjazmem). Swoistym ukłonem pod ich adresem jest fragment autobiografii Rubia, w którym wspomina on dziecięce przechwałki, że pewnego dnia „poprowadzi armię wygnańców, by obalić Fidela Castro i zostać prezydentem wolnej Kuby".

Dla Trumpa „deal" z Hawaną to jeden z układów, które można zawrzeć – jak z Teheranem, Caracas, Damaszkiem, Moskwą, Kopenhagą (w sprawie Grenlandii) – i prezentować wyborcom jako sukces. Tak można tłumaczyć nonszalancję, z jaką prezydent traktuje „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Ameryki". – Zajmiemy się tym, jak tylko skończymy [z Iranem – red.]. Lubię robić rzeczy po kolei – mówił niedawno Trump. Dla Rubia to znacznie więcej, bo jest bacznie obserwowany przez swój najtwardszy elektorat z Florydy. Dla 55-letniego polityka, który skupił w swoich rękach nieproporcjonalnie wiele władzy (jako pierwszy polityk od czasów Henry'ego Kissingera łączy funkcję sekretarza stanu i doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego) i być może pielęgnuje wciąż marzenie o prezydenturze, sprawa kubańska ma kluczowe znaczenie – od jego skuteczności zależy jego przyszła potencjalna wiarygodność w walce o jakiekolwiek wybieralne stanowisko. A musi się on liczyć z tym, że w rywalizacji o Biały Dom będzie się musiał zmierzyć z wiceprezydentem J.D. Vance'em.

– Jedyna nadzieja Hawany to pójście na duże ustępstwa – twierdzi Michael Bustamante. – W przeciwnym razie Waszyngton może zmusić ich do odejścia siłą, z trudnymi do przewidzenia konsekwencjami – kwituje ekspert z University of Miami. Konsekwencje te nie dotyczą jednak wyłącznie sytuacji na Kubie, chaos może zapanować również na Florydzie. Jak twierdzi Steve Bovo, niegdysiejszy bliski współpracownik Trumpa i Rubia, były burmistrz miejscowości Hialeah, w razie siłowego obalenia reżimu na wyspie Kubańczycy z Florydy mogą na własną rękę, w nieskoordynowany sposób, ruszyć z pomocą rodakom (przy czym chodzi raczej o pomoc humanitarną niż jakąś formę odsieczy).

Diaspora patrzy dziś Waszyngtonowi na ręce. – To byłoby ogromne rozczarowanie, gdyby na koniec ery administracji Trumpa nie doszło do zmian na Kubie w stopniu, który stanowiłby prostą drogę do całkowitej wolności lub po prostu całkowitą wolność – podkreśla Bovo. ©℗

Kraj

Między narodami nie ma wielkich przyjaźni

Zełenski przekroczył czerwoną linię – wiedząc, jaka jest polska perspektywa, świadomie podjął decyzję o wymierzeniu Warszawie policzka. Zadaniem Polski jest uzmysłowić naszym wschodnim partnerom, że nie mogą z nami w ten sposób pogrywać

Z Tobiaszem

Bocheńskim

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Wy się w tym PiS tak po ludzku jeszcze lubicie?

Oczywiście. Czego jak czego, ale sympatii między nami nie brakuje. Możemy się ze sobą nie zgadzać, możemy mieć różne oceny przeszłości i kursu na przyszłość, ale tak generalnie to tak, lubimy się.

Tylko gdy siadacie obok siebie na posiedzeniu komitetu politycznego, czyli najważniejszych władz partii, to atmosfera jest taka, że można siekierę wieszać. O pełnych napięć posiedzeniach klubu nie wspomnę.

I pan, i ja, i nasi czytelnicy wiedzą, że temperatura dyskusji w naszej partii czasem jest wyższa, a czasem jest niższa. Ale nigdy nie chodziło o brak sympatii czy jakieś prywatne animozje.

No nie wiem. Przemysław Czarnek mówił na wspólnym wiecu z Mateuszem Morawieckim, że jesteście jak Gorzów i Zielona Góra. Ja pójdę dalej: jak ŁKS i Widzew w Łodzi. Trzeba ze sobą wytrzymać, ale najchętniej utopilibyście siebie nawzajem w łyżce wody.

Chyba nie jest aż tak źle (śmiech). Myślę, że profesorowi Czarnkowi chodziło o położenie akcentów na to, co wspólne, a nie to, co różni. Jakiegokolwiek porównania byśmy użyli, to najistotniejszy jest wspólny mianownik, fundament – a tu się zgadzamy. Reszta jest przedmiotem czasem żarliwej dyskusji.

Na jednym z okrążeń tej żarliwej dyskusji ludzie Morawieckiego ze stowarzyszenia Rozwój Plus prawie wylecieli z partii. Dziś wy, ich wewnętrzni adwersarze, startujecie ze stowarzyszeniem Po Pierwsze Polska. Ledwo nadążam, a jak w tym mają się połapać wyborcy?

Cele naszego stowarzyszenia zostały precyzyjnie określone, nakładają się na codzienną działalność partii: organizowanie kampanii Przemysława Czarnka, prace programowe, budowanie jedności. Krótko mówiąc: dostosowanie się do nowych formuł funkcjonowania. Spotkaliśmy się przy Nowogrodzkiej, trudno byłoby nas uznać za organizację zewnętrzną wobec PiS...

...w odróżnieniu od stowarzyszenia Mateusza Morawieckiego.

Wierzę, że tak czy inaczej wszyscy spotkamy się w radzie eksperckiej i będziemy pracować nad ofertą, programem, propozycjami dla wyborców. Reszta to przeszłość i zamknięty etap, didaskalia.

To nie tylko pytanie o to, kto zawalczy o przywództwo w partii, gdy prezes Kaczyński zrezygnuje. W gruncie rzeczy chodzi o kierunek działania, jeśli za rok wrócicie do władzy.

Proszę pytać.

Na start weźmy relacje z Kijowem. Wasz rząd zrobił dużo, by po wybuchu wojny pomóc naszym sąsiadom. Dziś mam wrażenie, że się tego wstydzicie i stosunki z Ukrainą układalibyście zupełnie inaczej.

Podjęliśmy decyzję o pomocy dla Ukrainy i chcę, by wybrzmiało jasno, że zrobilibyśmy to dziś jeszcze raz, na taką samą skalę i z taką samą determinacją. Nie wycofujemy się z tego, nie żałujemy tamtych działań, to była absolutnie oczywista inwestycja w to, by rosyjskie czołgi nie stanęły przy granicach naszych województw na wschodzie kraju. Ale obecnie widać wyraźniej, że była to decyzja pragmatyczna, a nie romantyczna. Nie ma co wierzyć, że między narodami istnieją wielkie przyjaźnie, które wykraczają poza politykę. Pomogliśmy, bo wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem. Naszym głównym zagrożeniem jest Rosja, a Ukraina, która od lat toczy nierówną walkę z agresorem, utrzymuje go z dala od naszych granic na południowym wschodzie.

Dziś niby też tak jest, ale emocje są inne: i wobec Ukraińców w Polsce, i wobec prezydenta Wołodymyra Zełenskiego.

Nie ma się co dziwić, bo tak jak oczywiste jest, że Ukraina walczy na froncie z wrogiem wolnych narodów Europy Środkowo-Wschodniej, tak równie oczywiste jest to, że ostatnie działania Zełenskiego i jego elit są niezgodne z interesami Polski. I dlatego musimy asertywnie podejść do tych relacji, inaczej nie będziemy mogli osiągnąć trwałego porozumienia.

Trochę romantyzmu w waszym wykonaniu jednak było. Podróż Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego do Kijowa krótko po wybuchu wojny, propozycja wysłania tam oddziałów NATO, przyjaźń deklarowana przez Andrzeja Dudę wobec Wołodymyra Zełenskiego...

Prezydent Andrzej Duda prowadził swoją autorską politykę wobec Kijowa, ale to jeszcze nie oznacza, że nasz obóz uznał, iż Ukraina ma być np. bezwarunkowo przyjęta do Unii Europejskiej. W sposób oczywisty naruszałoby to dziś nasze interesy: przedsiębiorców, rolników...

Rywale z Konfederacji wytykają wam naiwność. Zarówno panu osobiście, jak i całej delegacji PiS w europarlamencie wypominają zagłosowanie za pożyczką dla Ukrainy zaciągniętą na rynkach przez Komisję Europejską.

Zacznijmy od tego, że te 90 mld euro pożyczki ma być spłacone z zamrożonych rosyjskich aktywów...

...albo reparacji wojennych od Rosji. Nikt dziś nie wierzy ani w jeden, ani w drugi scenariusz. Dziś zagłosowałby pan tak samo w sprawie tej pożyczki?

Nie. Gdyby przed tamtym głosowaniem prezydent Zełenski nadał jednostce wojskowej imię „Bohaterów UPA", to nie zagłosowałbym za tą pożyczką, dopóki Kijów nie zmieniłby swojej

eprasa.pl 0c056d6efb

decyzji. Ale mam wrażenie, że nasze decyzje czy reakcje w naturalny sposób będą czasem podyktowane tym, co się dzieje w Ukrainie.

Kult UPA i Stepana Bandery to nie jest kwestia ostatniego tygodnia.

Dostrzegam jednak zasadniczą różnicę. Tak, wśród polityków lokalnych, samorządowych i niektórych partii w Ukrainie od lat istniały tendencje do gloryfikowania UPA, ale oficjalnych działań prezydenta na taką skalę nie było. Zełenski przekroczył czerwoną linię – wiedząc, jaka jest polska perspektywa, jaka jest nasza wrażliwość, jaka jest wreszcie prawda historyczna, świadomie podjął decyzję o wymierzeniu Warszawie policzka. Zrobił to koniunkturalnie ze względu na swoje notowania i mobilizowanie wokół siebie ukraińskiej opinii publicznej, zwłaszcza prawicowego elektoratu. Nakładają się na to perspektywy zewnętrzne: dziś ekipa Zełenskiego nie orientuje się na Warszawę, lecz na Berlin. Zadaniem Polski jest uzmysłowić naszym wschodnim partnerom, że nie mogą z nami w ten sposób pogrywać.

Każdy nad Wisłą teraz tak mówi. Prezydent wysyła sygnał o gotowości do odebrania Orderu Orła Białego, a premier pisze wprost: dyplomacja zawiodła. Jak zatem działać?

Po pierwsze, symboliczna decyzja powinna być dla Kijowa kubłem zimnej wody – nikt się nie powinien wahać, najwyższe polskie odznaczenie trzeba Zełenskiemu odebrać.

Z całym szacunkiem, ale z perspektywy Kijowa to jeden więcej przypis w Wikipedii.

Pozornie tak, ale za taką decyzją idzie seria rozmów, wymiany poglądów. A jeśli i to nie pomaga, wyciągamy twarde karty.

Jakie?

Mamy tych narzędzi całkiem sporo. Możemy wstrzymać działania dyplomatyczne wspierające różne ukraińskie potrzeby za granicą. Kijów może też otrzymać suchą, techniczną informację, że w każdej chwili może ruszyć nieplanowany remont lotniska w Jasionce i że akurat tak się składa, że kolejne przejścia graniczne wymagają wzmożonych prac administracyjno-naprawczych. Możemy zawiesić część wsparcia militarnego, które oczywiście nie jest dziś już tak duże jak cztery lata temu, ale wciąż ważne. Wreszcie możemy podjąć decyzję o deportacji części Ukraińców. I nawet nie chodzi o to, by z tego całego arsenału natychmiast skorzystać, ale wysłać sygnał, że jesteśmy gotowi to zrobić, by Zełenski zrozumiał, że jesteśmy gotowi grać tak samo twardo jak oni. Premier Donald Tusk tego nie robi.

Wy też nie robiliście, gdy rządziliście, bo propagandowo, a później politycznie i militarnie zyskałaby na tym Rosja.

Ale tu znów wracamy do zmieniającej się sytuacji. O ile nie należało tego rodzaju targów rozpoczynać w momencie, gdy nasz sąsiad ledwo trzymał się na nogach, bo ważniejsze w hierarchii celów jest dla nas utrzymanie wolnej Ukrainy jako strefy buforowej, o tyle dziś nie ma realnego zagrożenia, że rosyjskie czołgi szybko zameldują się pod granicą z Polską. Sytuacja na froncie jest nieco lepsza niż pół roku temu, nie mówiąc o tym, co się działo na początku wojny. Przyszedł czas, by spokojnie wypośrodkować politykę, by z jednej strony nie zwiększyć zagrożenia ze strony Rosji, a z drugiej nie pozwolić, by pod nosem urosło nam państwo banderowskie.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Tobiasz Bocheński, europoseł, wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości, doktor nauk prawnych. W latach 2019–2023 wojewoda łódzki, w 2023 r. wojewoda mazowiecki

A może wszyscy reagują przesadnie, ulegają presji opinii publicznej i zmieniającym się nastrojom wyborców? Karol Nawrocki jeszcze jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej wykazywał większe zrozumienie, mówiąc w kontekście Bandery, że każdy kraj wybiera sobie swoich bohaterów. Nikogo wtedy to nie oburzało.

Nazwanie rzezi wołyńskiej ludobójstwem, pozwolenie na szerokie działania ekshumacyjne i stanięcie w prawdzie przez Ukraińców będzie służyło stabilności Europy Środkowej i Wschodniej. Wspomniał pan o zmianie nastrojów społecznych – są one oparte nie tylko na emocjach, lecz także na konkretnych faktach. Jeżeli rośnie nam bezrobocie, a młody Polak szuka pracy i jej nie znajduje, bo słyszy od pracodawcy, że ma sześciu Ukraińców na jego miejsce, którzy mogą pracować za mniejsze pieniądze i bez tych wszystkich zapisów kodeksu pracy, to trudno się dziwić, że irytacja rośnie. Politycy nie mogą udawać, że tego nie widzą, wygłaszając piękne hasła na temat humanitaryzmu i ogólnoludzkich wartości.

Zmieńmy temat. Pamięta pan ze studiów prawniczych termin „odwyknienie"?

Z łacińskiego „desuetudo". Ciekawa „instytucja", z której korzysta się bardzo, bardzo rzadko, bo zakłada ona uznanie za nieważne teoretycznie istniejących przepisów. Niemniej bywa konieczna, np. w momentach, gdy przed sądami nadużywano przepisów, które występowały w porządku prawnym, ale nie stosowano ich od 50–60 lat. Jeśli pan chce, możemy resztę wywiadu porozmawiać o tym terminie.

Z doktorem nauk prawnych będzie mi trudno wejść w polemikę. Skupmy się na praktyce. O „odwyknieniu" mówi Jarosław Kaczyński, rozważając ustanowienie „specjalnego sądu", jeśli wrócicie do władzy. Patryk Jaki doprecyzował ostatnio w Polsacie: chodzi o superkomisję z pogranicza prokuratury i sądu, która miałaby olbrzymie kompetencje. Brzmi jak pójście na bezczela.

Bez przesady. Kwestia formuły prawnej jest jeszcze otwarta, ale intensywnie o tym dyskutujemy i na pewno obowiązujące prawo zostanie wykorzystane z całą jego mocą, by osoby dopuszczające się łamania prawa odpowiedziały za to w bezwzględny sposób. Dziś mamy chory system, a działania rządu tylko powiększają chaos. Problem polega na tym, że część sceny politycznej i elit prawniczych uważa, że stoi ponad prawem.

Wypisz wymaluj pomysły PiS. I praktyka waszych rządów w przeszłości.

Jestem gotowy przyjąć każdą krytykę, ale musi pan przyznać, że działaliśmy w granicach przewidzianych konstytucją kompetencji. Zmienialiśmy ustawy, które miały podpis prezydenta. A dziś? Rządzący udają, że przyjęte i obowiązujące ustawy nie istnieją. I dlatego premiera i ministra sprawiedliwości trzeba będzie rozliczyć, to jedna z najważniejszych spraw, jakie będzie trzeba załatwić po wygraniu wyborów.

Wajcha wychyli się w drugą stronę.

W każdym kraju sędziowie mają różne zapatrywania i poglądy, ale chyba tylko w Polsce istnieje wąska grupa uzurpująca sobie prawo do politycznej dyskusji, kreująca się na autorytety prawne. Sędzia ma być sprawny w orzekaniu, nie może być częścią debaty politycznej.

A w zasadzie czemu nie? Idąc dziś do sądu, sprawdziłbym, czy sędzia orzekający jest z Iustitii czy Prawników dla Polski, czy na Facebooku ma w ulubionych Republikę czy TVN, czy dostał awans od Krajowej Rady Sądownictwa wczoraj czy 10 lat temu. Może to wszystko powinno być przejrzyste.

Sędzia jest wybitnie uprzywilejowany. Władza sądzenia, której szeroko się nie docenia, jest nierzadko większa niż siła posłów czy władzy wykonawczej. Mając przywileje, sędzia musi mieć o wiele większe obowiązki i wyśrubowane standardy. Chroni go immunitet, cieszy się pewnością zatrudnienia i stanem spoczynku zamiast emerytury. Nie możemy dawać mu jeszcze zgody na zaangażowanie polityczne. Osobiście jestem zwolennikiem zakazu stowarzyszania się sędziów. Dobrze wiem, że nie od wczoraj mamy problem z systemem. Możemy toczyć niekończącą się, choć ciekawą dyskusję o tym, kto i kiedy rozpoczął proces wchodzenia w bagno, ale musimy patrzeć do przodu. Chcemy naprawić ten system i wiemy jak.

Tak jak to robił Zbigniew Ziobro? Czy jak proponuje Krzysztof Szczucki, który w swojej „Tyranii praworządności" wytyka Ziobrze liczne błędy?

Szczerze? Ani jedna, ani druga furtka nie jest optymalna. Musimy rozliczyć kogo trzeba i zbudować system nawet przy obowiązującej dziś konstytucji. Będziemy musieli od nowa zaprojektować całą tę praworządnościową układankę przy założeniu, że sędzia musi być absolutnie niezależny na sali sądowej, ale system, w którym pracuje, tworzą politycy. Władza wykonawcza, sądownicza i ustawodawcza mają się równoważyć – nie możemy uznać, że przekazujemy wszystko sędziom.

Jak będzie wyglądać wasza polityka unijna, jeśli wrócicie do władzy? Polska wersja Orbána czy Meloni?

Piłka będzie po stronie Brukseli. Wszystko będzie zależało od stosunku Komisji Europejskiej do prawicowego rządu w Polsce. Jeżeli Bruksela wybierze podejście „więcej tego samego", to trzeba będzie pójść drogą Węgier Orbana i nie wahać się blokować wiele rozwiązań. Jeśli KE przejrzy na oczy i zobaczy, że nie tylko Polska, ale szerzej Europa się zmienia i chciałaby z nami rozmawiać – tak jak to robi z Giorgią Meloni i jej rządem – to włoski scenariusz jest też możliwy. Ale nie mogą nas oszukiwać tak jak ostatnim razem.

Gdyby siedział obok nas Konrad Szymański, wieloletni minister ds. europejskich za czasów PiS, powiedziałby, że momentów, w których to Warszawa oszukała Brukselę, też trochę było.

Nie zgadzam się z Konradem Szymańskim. Komisja Europejska prowadzi twardą politykę nie tylko w swoim interesie, lecz także w interesie europejskiego establishmentu i różnego rodzaju lobby, włącznie z tym ideologicznym, które na dłuższą metę nie są w stanie zaakceptować rządów opowiadających się za Europą ojczyzn i przeciwstawiających się postępującej eurofederalizacji. Walec KE dotychczas próbował takie rządy rozjeżdżać. Ewentualne błędy czy drobnostki, które w normalnej, partnerskiej rozmowie mogłyby obciążać naszą stronę, w tej logice są didaskaliami.

A europarlament, w którym pan pracuje, to faktycznie cmentarzysko politycznych słoni?

Nie, to raczej miejsce bezwzględnej, pozbawionej sentymentów gry politycznej w interesie narodów. A dodatkowo to instytucja często pozbawiona mechanizmów demokratycznych.

Wraca pan na kampanię 2027 r.? Wynik wykręcił pan niezły.

Jeżeli tylko kierownictwo PiS uzna, że jestem potrzebny, to będę do dyspozycji. Ale rozmowy o listach wyborczych dopiero przed nami. ©℗

eprasa.pl 0c056d6efb

LOcaL content

Rząd mówi, że będzie przestrzegał unijnego wymogu równego traktowania wszystkich podmiotów gospodarczych, ale będzie dyskryminował niektóre z nich, tyle że miękkimi metodami. Może w ten sposób uniknąć sporu z Brukselą, ale nie uniknie sporu z logiką

Sebastian

Stodolak

9 kwietnia w podtoruńskiej fabryce Apatora – firmy produkującej rozmaite urządzenia pomiarowe – zgromadzili się szefowie spółek Skarbu Państwa (SSP). Mieli wysłuchać wystąpienia samego premiera Donalda Tuska oraz ministra aktywów państwowych Wojciecha Balczuna, swojego bezpośredniego pryncypała. Sprawa była ważna. Chodziło o przyszłość polskiej gospodarki. Premier perorował: „Pamiętacie, kiedy mówiłem o tym, że nie ma odwrotu od repolonizacji polskiego przemysłu, polskiej gospodarki? (...) Chcę bardzo jasno powiedzieć, że wszędzie tam, gdzie polski rząd ma cokolwiek do powiedzenia, wszędzie tam, gdzie będą zamawiane usługi, produkty, wszędzie tam, gdzie będziemy mówili o współpracy między jedną, drugą, trzecią firmą, będziemy (...) egzekwowali te zasady". Zasady local contentu. To właśnie to hasło widniało za plecami przemawiającego premiera.

Komponent krajowy

Promowanie repolonizacji gospodarki pod angielską nazwą aż się prosi o złośliwość. W duchu hermeneutyki podejrzeń Freuda można by spekulować, że promotorzy local contentu nie mają na myśli tego, co twierdzą, że mają. Niestety, nie mamy wglądu w intencje liderów naszego państwa i sądy o nich musimy formułować na podstawie tego, co mówią i robią oraz jakie to rodzi konsekwencje. Co zatem mają na myśli, mówiąc o local contencie, czyli – jak to przetłumaczono w oficjalnych dokumentach rządowych – komponencie krajowym w gospodarce?

Z wypowiedzi premiera Tuska i ministra Balczuna, nie tylko tych z 9 kwietnia, można wywnioskować, że w gabinetach rządowych została przeprowadzona głęboka geopolityczna analiza zwieńczona krytyczną diagnozą. Oto Polską rządzili dotąd frajerzy (słowa premiera), którzy dali się rozgrywać zagranicy. Popierane przez swoje rządy firmy z USA, Niemiec, Chin albo Węgier panoszyły się przez nikogo nieniepokojone na naszym rynku kosztem polskich – przecież równie dobrych – przedsiębiorstw. Koniec z tym. Skoro inne rządy wspierają swoich, dają im fory, czasami wręcz dopłacają do ich biznesu, to dlaczego my mamy być gorsi? Szacunek zdobędziemy, odpowiadając podobnymi metodami. „Polska nie będzie naiwnym partnerem w konkursie egoistów na rynkach i frontach wojen" – to znów słowa Donalda Tuska, wypowiedziane rok przed konferencją w Apatorze.

W oficjalnym komunikacie zatytułowanym „Local Content. Z korzyścią dla Polski" zamieszczonym na stronach rządowych znajdujemy krótki i klarowny plan tego końca polskiej naiwności. Local content – zdefiniowany jako wartość towarów lub usług wyprodukowanych lub świadczonych przez podmiot krajowy – ma się opierać na czterech filarach. Po pierwsze, polskie firmy mają zostać włączone w większym zakresie w łańcuchy dostaw wielkich inwestycji publicznych. Po drugie, rodzimy kapitał ma posłużyć do wzmocnienia bezpieczeństwa dostaw w czasach kryzysu. Po trzecie, ma zostać wprowadzona odpowiednio sprofilowana polityka zakupowa państwa. Po czwarte wreszcie, mają zostać zorganizowane zespoły eksperckie wspierające procesy inwestycyjne.

Komponent krajowy ma się stać już nie tylko mglistym hasłem patriotycznego publicysty, lecz konkretnym, mierzonym przez Główny Urząd Statystyczny wskaźnikiem, bo podległe Ministerstwu Aktywów Państwowych firmy będą zobowiązane do pomiaru i raportowania udziału kapitału krajowego w swoich łańcuchach wartości. Jego poziom będzie podnoszony m.in. dzięki wskazaniom kodeksu dobrych praktyk, których SSP powinny przestrzegać, a zarządy będą rozliczane z efektów przez rady nadzorcze na podstawie kluczowych wskaźników efektywności (KPI).

W skrócie: obok jakości i ceny niemal równoważnym kryterium uczestnictwa w nadzorowanych przez państwo branżach krytycznych – energetyce, infrastrukturze czy obronności – będzie pochodzenie. Polskie, bo jak już wszyscy wiedzą, kapitał ma narodowość.

Intensywność i ostrość, z jaką rząd komunikuje działania w kwestii local contentu, każą przypuszczać, że może traktować sprawę serio. Zwłaszcza że od słów wkrótce przejdzie do czynów i uruchomi pilotaż programu w sektorze energetycznym, a jeśli pilotaż się powiedzie, to rozszerzy go na infrastrukturę, obronność czy cyfryzację. Mowa o reorganizacji dużej części zamówień publicznych, których ogólna wartość sięga ok. 330 mld zł rocznie.

Co uznamy za lokalne?

Problem z programem „Local Content" rozgrywa się na co najmniej dwóch płaszczyznach. Pierwsza: poziom samego projektu. Załóżmy, że faktycznie zwiększanie komponentu krajowego w łańcuchach wartości jest zasadne, tj. buduje odporność gospodarki i państwa, a także stymuluje rozwój. Po czym jednak poznać, że komponent jest krajowy? Czy wystarczy, że jest zarejestrowany w Polsce? Nie. Przecież firmy, te duże, mają często rozczłonkowaną strukturę zarządczą rozlokowaną w wielu krajach. Co więcej, przyjęcie tego kryterium za wiodące kazałoby uznać np. ewidentnie polską firmę Kulczyk Investments za firmę obcą, gdyż jej siedziba znajduje się w Luksemburgu. Może „krajowość" należy oceniać po tym, gdzie dany podmiot płaci podatki? Tego testu nie zdałoby kilka uznanych polskich firm, bo optymalizują się w rajach podatkowych. Może zatem należy zwracać uwagę na to, gdzie działalność jest prowadzona faktycznie, kogo firma zatrudnia i gdzie osiąga swoje przychody? To podejście, jakkolwiek brzmi rozsądnie, byłoby problematyczne bez uwzględnienia wspomnianych już kwestii rezydencji podatkowej i głównej siedziby.

Definicyjny problem nasz rząd postanowił rozwiązać, wprowadzając system klasyfikacji i przypisując poszczególnym kryteriom wagi. Po 25 proc. otrzymały siedziba firmy i przedmiot działalności na terenie Polski, po 15 proc. rezydencja podatkowa i pochodzenie pracowników, a po 10 proc. kryteria długości dotychczasowej działalności w Polsce i miejsca osiągania przychodu. Uderza arbitralność tego rozkładu. W praktyce skutkować może ona premiowaniem firm mniej efektywnych, ale lepiej wpisujących się w urzędowy szynel. Ponadto złożoność i formalizacja kryteriów uznawania local contentu w połączeniu z mniej formalnymi sposobami jego podnoszenia (gdyż prawo UE zabrania oficjalnego, zapisanego w prawie premiowania swoich firm) stworzy strefę szarości, co otworzy drogę do kolesiostwa. W praktyce bowiem może się okazać, że już obecne w łańcuchach wartości państwowych spółek firmy po prostu przefarbują się tak, by spełniać odpowiednie kryteria. Tu coś przerejestrują, tam kogoś zatrudnią i w efekcie zamiast do większej otwartości w systemie zamó-

> Eksperci OECD zauważają, że wymogi typu local content „uderzają w handel dobrami pośrednimi, co osłabia konkurencyjność, podnosi krajowe koszty produkcji i ceny oraz negatywnie wpływa na zatrudnienie w całej gospodarce"

eprasa.pl 0c056d6efb

FOT. KPRM/FLICKR

Premier Donald Tusk na inauguracji projektu „Local Content. Z korzyścią dla Polski"

wień publicznych dojdzie do zacementowania zastanych układów. Z punktu widzenia nominalnego celu narzędzia local content okażą się wtedy całkowicie tępe.

Dlaczego lokalne nie jest lepsze

Co jednak, jeśli zadziałają? Wtedy będziemy mieli jeszcze poważniejszy problem.

Wcześniej założyliśmy roboczo pełną sensowność podnoszenia komponentu krajowego. To założenie nie zgadza się ani z teorią, ani z empirią ekonomiczną. Nigdy dość przypominania decydentom: jedynym celem produkcji jest konsumpcja. Jeśli konsumenci na jakimś rozwiązaniu ucierpią, to w długim okresie ucierpią także producenci i państwo. Nie da się zbudować odporności i rozwoju kosztem konsumentów. Mówił o tym już Adam Smith w „Badaniach nad naturą i przyczynami bogactwa narodów". I on, i David Ricardo w „Zasadach ekonomii politycznej i opodatkowania" tłumaczyli światu, jak ważne dla naszego dobrobytu są podział pracy i specjalizacja oraz dlaczego rozszerzanie międzynarodowej współpracy gospodarczej jest korzystne. W świetle teorii ekonomii dochodzi do ciekawego, ale pozornego paradoksu: zwiększanie komponentu zagranicznego zwiększa zarówno jakość, jak i wartość komponentu krajowego. Wpuszczając obcych, wzmacniamy swoich.

Od czasów Smitha i Ricarda minęły już dwa wieki, ale ich teorie raz po raz zyskiwały potwierdzenie empiryczne. Ekonomiści ukuli nawet specjalny termin, który częściowo tłumaczy pozorność wspomnianego paradoksu. Mowa o spillover effects, czyli o efektach rozlewania się wiedzy, technologii, standardów organizacyjnych i wymagań jakościowych z firm zagranicznych na firmy krajowe. Zagraniczna firma nie przywozi do kraju wyłącznie kapitału, maszyn i logotypów. Przywozi normy jakości, kulturę zarządzania, systemy kontroli kosztów, procedury logistyczne, technologie, oczekiwania wobec terminowości, certyfikacji i powtarzalności produkcji. Lokalne przedsiębiorstwo chcące wejść do jej łańcucha dostaw musi się nauczyć produkować lepiej, szybciej, taniej albo bardziej przewidywalnie. Pracownik, który przejdzie przez taką firmę, wynosi z niej kompetencje. Konkurent, który obserwuje nowe standardy, musi się do nich odnieść. Państwo nie musi tego transferu dekretować – on zachodzi przez rynek. Co ciekawe, jedną z najwybitniejszych badaczek tych mechanizmów jest Polka – prof. Beata Javorcik, główna ekonomistka w Europejskim Banku Odbudowy i Rozwoju.

Te obserwacje mają zasadnicze znaczenie dla dyskusji o komponencie krajowym. Jeśli rządowi uda się zwiększyć jego udział w łańcuchach wartości za pomocą sterowania zamówieniami publicznymi, to dojdzie do wypchnięcia z nich komponentu zagranicznego. To może wzbogacić aktualne zarządy polskich firm, tymczasowo nawet ich obecnych akcjonariuszy, ale w długiej perspektywie w pewnej mierze odetnie krajowe firmy od trudniejszych klientów, wyższych standardów, międzynarodowych łańcuchów dostaw i praktycznej szkoły produktywności. Ich przyszłe zarządy i udziałowcy znajdą się na gorszej pozycji, o ile firmy te jeszcze będą istnieć, bo zagraniczna konkurencja – chwilowo wypchnięta – powróci. I to nie są strachy na Lachy. Przecież tak już było w takich krajach jak Argentyna, Brazylia, Chiny, Indie, Indonezja, Rosja czy Arabia Saudyjska. Eksperci OECD zauważają w komentarzu zamieszczonym na oficjalnych stronach organizacji w 2019 r., że wymogi typu local content „uderzają w handel dobrami pośrednimi, co osłabia konkurencyjność, podnosi krajowe koszty produkcji i ceny oraz negatywnie wpływa na zatrudnienie w całej gospodarce". „Nawet niewielka podgrupa polityk Local Content ma ilościowo wpływ netto, który spowodowałby spadek światowego handlu o 23 mld dol. i doprowadziłby do utraty 5 mld dol. światowego dochodu. W prawie wszystkich przypadkach, w których wdrożono wskaźniki LCR, eksport towarów końcowych spadł nawet o 5 proc. Środki te negatywnie wpłynęły również na zatrudnienie w sektorach nieobjętych LCR, przy czym miejsca pracy dla pracowników niewykwalifikowanych znikały trzy razy szybciej niż dla wykwalifikowanych" – streścili w nim swoje badania. Niezbyt to pozytywne wieści dla najmniej zarabiających Polaków...

Kosztowne ciasteczko

Wygląda na to, że polski rząd postanowił zjeść ciastko i mieć ciastko. Z jednej strony deklaruje, że chce, by polska gospodarka nadal była włączona w międzynarodowy system wymiany, ale z drugiej – najwyraźniej wierzy, że swoje jest jednak lepsze niż obce.

Tego rodzaju podejście pcha rząd do wysyłania sprzecznych komunikatów. Robi to, gdy mówi, że będzie przestrzegać unijnego wymogu równego traktowania wszystkich podmiotów gospodarczych, ale jednocześnie zaznacza, że miękkimi metodami będzie jednak niektóre dyskryminował. Może w ten sposób uniknąć sporu z Brukselą, ale nie uniknie sporu z logiką. Robi to także, deklarując, że zarządzanie spółkami Skarbu Państwa musi w końcu zostać odpolitycznione, a jednocześnie twierdząc, że zarządy spółek będą rozliczane przez MAP i rady nadzorcze na podstawie kryterium etnopolitycznego, jakim jest pochodzenie ich kontrahentów oraz partnerów biznesowych. Praktyczne koszty tych sprzeczności będą ponosić obywatele, gdyż nieefektywność polskiej gospodarki może się pogłębić, jej konkurencyjność – obniżyć, a ceny – wzrosnąć.

Jednocześnie trudno wykluczyć, że głównym namacalnym efektem programu będzie utrwalenie patologicznego status quo, w którym nikt już nie mówi o konieczności oddania podatnikom spółek Skarbu Państwa, czyli o prywatyzacji. Dzisiaj przyjmuje się domniemanie, że niezbędne jest utrzymywanie tych spółek w pełnej zależności od państwa. Polityka local contentu tylko to domniemanie usztywni.

A pamiętajmy, że mowa tu o niemal 500 podmiotach (co najmniej, bo nie wliczamy tu m.in. spółek komunalnych) zatrudniających 0,5 mln osób! Utrwalenie rządowej kontroli nad nimi daje politykom rozmaite korzyści: od możliwości finansowania przyjaznych sobie mediów przez zapewnianie synekur kolegom po kupowanie głosów.

Nie twierdzę, że rząd ma taki cel. Wolę założyć, że intencje ma dobre, ale rozeznanie złe – wtedy otwiera się pole do dyskusji. Jednocześnie teoria ta, choć cyniczna, ma wsparcie w pracach takich gigantów ekonomii politycznej jak Gordon Tullock czy James Buchanan, którzy przekonywali, by nie patrzeć na polityków jak na altruistów, lecz jak na osoby kierujące się interesem prywatnym.

Dobrą ilustracją absurdów, do jakich prowadzą egoistyczne motywacje połączone ze wzniosłą retoryką, są rozmaite dyktatury. One też, jak na ironię, mają zwykle fioła na punkcie wspierania rodzimej produkcji. Efekty tych ambicji w przypadku Białorusi ilustruje scenka uwieczniona na wideo z 2022 r. (dostępnym na YouTubie). Oto fabrykę motocykli w Mińsku wizytuje sam dyktator Alaksandr Łukaszenka. Z uwagą i surowym wyrazem twarzy wypytuje o kolejne modele. Jego uwagę przykuwa motocykl typu scrambler – uniwersalna maszyna przeznaczona do lekkiego off-roadu. – Co mamy w nim swojego? – pyta. – Projekt, pomysł, kompozycję i montaż – słyszy w odpowiedzi. – Czyli nic swojego? Lampy skąd? – pyta dociekliwie. – Z Chin. – Tarcze? – Z Chin. – Silnik? – Też z Chin. – A opony? – Z Chin. W końcu zniecierpliwiony dyktator wybucha: – Przecież mamy swoją fabrykę opon! Takiej produkcji jak wasza to ja mam już potąd! Już przejadł nam się ten import! – oznajmia.

Komiczne? Bardziej niż się spodziewacie: po publikacji nagrania internauci odkryli, że Łukaszenka został okłamany. Otóż nawet projekt motocykla nie był białoruski. Jednoślad okazał się francuskim Mash X-Ride produkowanym w Chinach – na Białorusi zmieniono w nim jedynie naklejkę z „Mash" na „Mińsk", zostawiając przy tym oryginalne oznaczenie modelu „X-Ride".

Istnieje – omijany szerokim łukiem przez decydentów – sposób zwiększania wartości komponentu krajowego: uporządkowanie prawa gospodarczego, zmniejszenie skomplikowania systemu podatkowego, zwiększenie dostępu do kapitału inwestycyjnego poprzez integrację z globalnymi rynkami, szersze otwarcie rynku... Krótko mówiąc, stosowanie się do rady XVIII-wiecznego francuskiego ekonomisty Vincenta de Gournaya: „Laissez faire!". Pozwólcie działać. Komu? Ano polskim firmom właśnie, którym teraz utrudniacie życie. ©℗

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Sebastian
Stodolak
wiceprezes Warsaw Enterprise Institute

eprasa.pl 0c056d6efb

Gospodarka

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Sprzątanie po Leszku Czarneckim

Jeden z najbogatszych Polaków poprzedniej dekady formalnie wciąż jest większościowym akcjonariuszem firmy leasingowej, która od prawie trzech lat znajduje się w restrukturyzacji

Tomasz

Jóźwik

Finansowe imperium Leszka Czarneckiego upadło, gdy pod koniec 2020 r. przymusowej restrukturyzacji poddany został Idea Bank. We wrześniu 2022 r. ten sam los spotkał Getin Noble Bank (GNB), który przed upadkiem plasował się w pierwszej dziesiątce największych pod względem wartości aktywów banków w Polsce.

Przymusowa restrukturyzacja – resolution – to rozwiązanie wymyślone po kryzysie lat 2008–2009. Resolution zakłada, że koszty ratowania podmiotu, który jest zagrożony upadłością, w pierwszej kolejności ponoszą akcjonariusze i kwalifikowani wierzyciele (w tym posiadacze obligacji) banku. Akcje Idea Banku i GNB zostały umorzone, a ich właściciele utracili prawa majątkowe związane z akcjami. W Polsce podmiotem uprawnionym do przeprowadzenia resolution jest Bankowy Fundusz Gwarancyjny.

Działalność operacyjną Idea Banku przejął Bank Pekao. Na bazie aktywów GNB powstał VeloBank, którego nabywcą został Cerberus Capital Management, amerykański fundusz private equity. Biznes obydwu restrukturyzowanych banków nie został przejęty w całości. W Idea Banku zostały m.in. udziały w niektórych spółkach zależnych, a aktywa GNB to przede wszystkim portfel kredytów frankowych. Obecnie zarówno Idea Bank, jak i GNB znajdują się w trakcie postępowania upadłościowego.

Jednak resztkowe aktywa, zarządzane obecnie przez syndyków obydwu banków, nie są jedyną problematyczną pozostałością po Czarneckim. Jego grupa prowadziła także rozległą działalność leasingową poprzez firmę VB Leasing i jej spółkę zależną VB Leasing Automotive. Kupnem aktywów leasingowych nie był zainteresowany nabywca VeloBanku.

Być może dlatego, że firmy prowadziły działalność leasingową według modelu uważanego w branży za ryzykowny: finansując się poprzez wykup wierzytelności. Polega on na tym, że firma sprzedaje bankowi prawa do rat leasingowych płaconych przez klientów. Co istotne, spółki finansowały się w ten sposób w kwocie brutto, co oznacza, że otrzymały zapłatę także za VAT od całej umowy leasingowej, czyli podatek od każdej kolejnej raty. Taki sposób finansowania rodzi pokusę wydania otrzymanej płatności za VAT, który w przyszłości firma leasingowa będzie musiała zapłacić, na bieżącą działalność. Wiele wskazuje na to, że spółki z gru-

eprasa.pl 0c056d6efb

py Czarneckiego tej pokusie uległy, co ostatecznie doprowadziło do problemów z płynnością.

W maju 2023 r., gdy VeloBank wypowiedział umowę generalną VB Leasing, firma utraciła możliwość prowadzenia działalności operacyjnej i w lipcu złożyła wniosek o otwarcie postępowania sanacyjnego. W listopadzie portfel wierzytelności wobec firm leasingowych, znajdujący się w posiadaniu VeloBanku, został przeniesiony decyzją BFG do Podmiotu Zarządzającego Aktywami (PZA), specjalnie utworzonej w tym celu firmy. BFG jest jej jedynym akcjonariuszem.

W ten sposób PZA stał się większościowym wierzycielem VBL i VBLA. Mimo to firma ma relatywnie niewielki wpływ na restrukturyzację obydwu spółek, dysponując tylko jednym głosem na pięć w Radzie Wierzycieli. To efekt decyzji podjętej przez zarządcę masy sanacyjnej, który, sporządzając spis wierzytelności, zakwalifikował prawa majątkowe w posiadaniu PZA jako wierzytelności bez prawa głosu.

Prawdopodobnie ta decyzja dała początek trwającemu już niemal trzy lata sporowi między PZA a zarządcami, którzy decyzją sądu prowadzą restrukturyzację VBL i VBLA.

Strony konfliktu prowadzą ze sobą dialog, wymieniając argumenty w sądach restrukturyzacyjnych, gospodarczych czy powszechnych. W największych wzajemnych pozwach PZA domaga się zapłaty przez VBL 450 mln zł, a VBL i VBLA żąda od PZA 900 mln zł.

Spór ma wymiar społeczny, w niewygodnej sytuacji stawiając przynajmniej część z kilkudziesięciu tysięcy drobnych z reguły przedsiębiorców, którzy są klientami VBL i VBLA. Firmy nowych umów już nie zawierają, ale wciąż obsługują umowy podpisane, gdy jeszcze prowadziły działalność. Na początku sanacji wartość zobowiązań VBL i VBLA z tytułu umów leasingowych (firmy są gwarantami ich prawidłowego wykonania) sięgała 8,4 mld zł. Na koniec lutego spadła do 2,9 mld zł. Redukcja zobowiązań jest efektem tego, że klienci VBL i VBLA spłacają raty leasingowe. W ten sposób PZA, do którego trafiają płatności, jest w stanie z kolei spłacać obligacje, które wyemitował na rzecz VeloBanku, płacąc w ten sposób za przejmowane aktywa. Z początkowej kwoty ok. 6 mld zł do spłaty zostało ok. 1,5 mld zł. Papiery te są objęte gwarancjami BFG.

Jednak nie wszyscy klienci VBL i VBLA wpłacają pieniądze na właściwe konta, przez co mają problemy z rozliczeniem umów. To pociąga za sobą kłopoty z przejęciem przedmiotów leasingu (chodzi głównie o samochody), które klienci mają prawo wykupić po wypełnieniu umowy.

Leszek Czarnecki poprzez firmę LC Corp B.V posiada 50,01 proc. akcji VBL. Pozostałe 49,99 proc. należy do znajdującego się w upadłości Idea Banku. O przyczynach sporu, punktach widzenia obu stron, finansowych konsekwencjach i sytuacji leasingobiorców rozmawiam z prezesem PZA Andrzejem Kublikiem i zarządcą sanacyjnym VBL Mikołajem Świtalskim. ©℗

Za działania zarządcy VBL zapłacą podatnicy

Z Andrzejem

Kublikiem

rozmawia Tomasz Jóźwik

Jak do tego doszło, że trafił do was portfel wierzytelności finansowych związanych z umowami leasingowymi, zawartymi przez firmy z grupy kapitałowej kontrolowanej przez Leszka Czarneckiego?

Zgodnie z decyzją Komisji Europejskiej termin znalezienia inwestora dla VeloBanku, powstałego jako instytucja pomostowa w wyniku resolution Getin Noble Banku, upływał w marcu 2024 r. Później bank musiałby zostać zlikwidowany. Inwestor się znalazł, lecz stwierdził, że nie jest w stanie zaakceptować ryzyka związanego z aktywami leasingowymi. Bankowy Fundusz Gwarancyjny (BFG) zdecydował, że te aktywa trafią do PZA. W ten sposób został do nas przeniesiony portfel wierzytelności związanych z umowami leasingowymi podpisanymi przez firmy VB Leasing i VB Leasing Automotive. Ich wartość zmienia się w miarę spłacania umów przez klientów. Obecnie wynosi ok. 2,4 mld zł i obejmuje 57 tys. umów leasingowych.

W momencie rozpoczęcia przymusowej restrukturyzacji Getin Noble Banku obydwie firmy prowadziły normalną działalność operacyjną. Czyli można założyć, że ich kondycja finansowa była dobra.

Przeanalizowaliśmy działalność tych spółek od 2016 r. – w całym okresie operacyjnie nie generowały pozytywnych przepływów gotówkowych. Mamy analizę wskazującą, że już w 2021 r. zarząd obydwu spółek powinien złożyć wnioski o upadłość. One funkcjonowały w systemie, który – jak się mówi w branży – nazywano „modelem finansowym Czarneckiego". Żadna z firm nie była w stanie pozyskać finansowania na zewnątrz i były całkowicie uzależnione od banków z grupy kapitałowej – Idea Banku i Getin Noble Banku.

Jak wygląda obecnie sytuacja VBL i VBLA?

Spółki od lipca 2023 r. znajdują się w restrukturyzacji. Do PZA portfel wierzytelności trafił w listopadzie 2023 r. Ani VBL, ani VBLA nie podpisują nowych umów, obsługując jedynie te, które zawarły wcześniej. Na koniec 2024 r. firmy miały ujemne kapitały własne w wysokości ok. -1,5 mld zł.

Jakie zastrzeżenia ma PZA do planu sanacyjnego obu spółek?

W lutym zeszłego roku zarządca VBL, większej ze spółek, przedłożył kolejną wersję planu restrukturyzacyjnego. Nie potrafiliśmy znaleźć w nim większego sensu ekonomicznego; przedstawiliśmy zastrzeżenia, na które nie dostaliśmy odpowiedzi, i szykowaliśmy się do posiedzenia rady wierzycieli wyznaczonego na 1 lipca zeszłego roku, na godz. 10. Późnym popołudniem dnia poprzedzającego posiedzenie do systemu sądowego trafiły dwa suplementy do planu, które całkowicie go zmieniały. Te suplementy nie były z nami – kluczowym wierzycielem – dyskutowane, choć normą w takiej sytuacji jest, że zarządca restrukturyzacyjny pracuje z wierzycielami. W planie pojawił się pomysł, żeby przeprowadzić ofertę publiczną spółki-wnuczki, do której trafiłyby nadwyżki finansowe wypracowane przez zarządców VBL i VBLA. Spółka Finpulse miałaby się zajmować obrotem wierzytelnościami. Wartość dla VBL i VBLA miałaby się pojawić na podstawie akcji sprzedanych przez Finpulse w IPO i dywidend wypłacanych przez tę firmę. W ten sposób VBL i VBLA spłaciłyby część swoich zobowiązań. Ale nie wiemy dokładnie, ile ani jaki jest plan spłat, bo zgodnie z planem restrukturyzacyjnym układ z wierzycielami, kończący sanację VBL i VBLA, miałby zostać zawarty dopiero w 2028 r.

Mówicie też o konflikcie interesów w planie restrukturyzacji i działaniach zarządców. Na czym on polega?

Zarządcami wyznaczonymi przez sąd są AMS Restrukturyzacje, reprezentowana przez Mikołaja Świtalskiego – dla VBL, i Kancelaria Restrukturyzacyjna, reprezentowana przez Kamila Hajduka – dla VBLA. Świtalski – jedyny wspólnik i członek zarządu AMS Restrukturyzacje – był uprzednio według naszej wiedzy zatrudniony w grupie VB Leasing. Hajduk jest jednocześnie pełnomocnikiem zarządcy VBL, Świtalskiego – zarówno w omawianej tu sprawie, jak i w procesie upadłości Idea Banku. Co więcej, Hajduk jest prezesem zarządu spółki Finpulse, której debiut giełdowy ma zostać sfinansowany ze środków masy sanacyjnej. Żeby użyć prostej analogii: to tak, jakby powierzyć komuś zarządzanie swoim majątkiem, a ten ktoś z tego majątku sfinansowałby firmę, której jest szefem i sprawuje nad nią pełną kontrolę. Do tego widzimy, że zarządcy zlecają sobie nawzajem prace, za które płacą masy sanacyjne.

Pomimo waszych zastrzeżeń rada wierzycieli zaakceptowała plan.

Tak – i to jest kolejne kuriozum. Naszym zdaniem ta decyzja była przedwczesna, merytorycznie nieprzygotowana i podjęta pod wpływem jednego z wierzycieli. My byliśmy przeciw. Wierzyciele nie dysponowali nawet kompletem podstawowych informacji, co potwierdziły kolejne rozprawy i decyzje sędziego-komisarza, zobowiązujące zarządcę do przedstawienia dodatkowej dokumentacji. Co więcej, na kolejnym posiedzeniu, 10 dni po wyrażeniu pozytywnej opinii o planie restrukturyzacji, członkowie jednogłośnie zagłosowali za uchwałą zobowiązującą zarządcę do przedstawienia materiałów źródłowych, w tym dokumentów finansowych, które były podstawą sporządzenia planu. Zarządca do dziś nie wykonał tej uchwały. Później się dowiedzieliśmy, że gdy 14 lipca zeszłego roku Rada głosowała nad opinią dotyczącą planu, był on już wykonywany – czyli przed wymaganym prawem zatwierdzeniem przez sędziego-komisarza. Już w lutym ubiegłego roku została podpisana umowa linii kredytowej między Finpulse a VBL. Dopiero po roku co najmniej dwóch członków rady wierzycieli – PZA oraz I Mazowiecki Urząd Skarbowy – dowiedziało się, że 50–60 mln zł zostało już wypłacone do Finpulse nie tylko bez wiedzy i zgody sędziego-komisarza i rady wierzycieli, lecz także w ramach wykonywania planu restrukturyzacyjnego niezatwierdzonego przez sędziego-komisarza.

Pięcioosobową radą wierzycieli kieruje Bank Pekao. Wszyscy poza PZA głosowali za pozytywną opinią o planie restrukturyzacyjnym. Dlaczego?

To pytanie do pozostałych członków rady, na jakiej podstawie – bez szczegółowych wyliczeń, a także bez czasu potrzebnego na analizę planu restrukturyzacyjnego – podjęli decyzję o pozytywnym jego zaopiniowaniu. Przez cały czas zadaję sobie pytanie, czy podstawą decyzji wierzycieli było jedynie zaufanie do Banku Pekao, który kieruje pracami Rady. Oddalając nasze zażalenie w sprawie zarzutów do uchwały rady o pozytywnej opinii wobec planu, sędzia-komisarz powołał się właśnie na ten argument: zaufanie do banku. Zastanawiam się, czy może pozostali wierzyciele otrzymali jakieś dodatkowe dokumenty, do których my nie mamy dostępu... Na naszą prośbę BFG zwrócił się do ministra aktywów państwowych z prośbą o objęcie nadzorem działań prowadzonych przez Bank Pekao w procesie sanacji spółek leasingowych.

Posiadacie ok. 61 proc. wierzytelności wobec VBL i ok. 94 proc. wobec VBLA. Dlaczego to nie PZA kieruje radą wierzycieli?

To jest jedna z kluczowych kwestii w tym procesie. Zarządcy wykreowali sztuczny spór, uznając wierzytelności, które uzyskaliśmy na mocy decyzji ▷

eprasa.pl 0c056d6efb

administracyjnej BFG, za wierzytelności pozbawione prawa głosu. Powołali się na art. 109 prawa restrukturyzacyjnego. Mówi on, że wierzyciel nie ma prawa głosu, jeśli nabędzie wierzytelności w drodze przelewu lub indosu po otwarciu postępowania restrukturyzacyjnego. Jednak te wierzytelności trafiły do nas wskutek decyzji administracyjnej, a więc sukcesji generalnej, która nie jest ani przelewem, ani indosem. To wie już student prawa. Stanowisko kwestionujące uprawnienia PZA jest też sprzeczne z prawem UE dotyczącym resolution, które przewiduje konieczność zapewnienia przez państwa członkowskie pełnej skuteczności instrumentów przymusowej restrukturyzacji. Złożyliśmy stosowne wnioski w tej sprawie do sądu. Sędzia-komisarz prowadząca sprawę VBLA stwierdziła, że zajmie się nimi, gdy będzie rozpatrywała nasze zastrzeżenie do spisu wierzycieli. W sprawie VBL sędzia w ogóle nie odniósł się do tej kwestii. Wynik jest taki, że już od prawie trzech lat jesteśmy pozbawieni należnych nam praw. Ta sytuacja mogłaby zostać szybko rozwiązana – postanowieniem sędziego – ale jesteśmy bezsilni wobec braku adekwatnych działań sądu we Wrocławiu.

W jakiej sytuacji znajdują się leasingobiorcy?

Ci, którzy śledzą kierowaną do nich korespondencję, nie mają problemów z prawidłowymi płatnościami. Jednak jest grupa klientów, dla których zrozumienie rzeczywistego stanu prawnego może być problematyczne. Ci ludzie ponoszą konsekwencje działań zarządców. Mamy np. sytuację, w której VBL i VBLA informują klientów, że ich długi są spłacone, gdy my nie otrzymaliśmy przynajmniej części płatności. To rodzi frustrację i my mamy tego świadomość.

Rozumiem, że problem klientów polega na tym, iż nie wiedzą, na które rachunki mają spłacać raty leasingu.

Część klientów spłacała raty na konta VBL i VBLA zamiast do PZA. Jeśli PZA jest właścicielem 100 proc. wierzytelności związanej z daną umową leasingową, to całe raty powinny trafiać do nas. Umowa generalna, którą VBL i VBLA zawarły z bankami, mówiła, że jeśli klienci wpłacali raty na rachunki tych firm, to firmy przelewały pieniądze do banku. Obecnie raty wpłacone na błędny rachunek także powinny trafić do nas.

Dlaczego spółki nie przelewają wam pieniędzy?

Utrzymują, że ten spłacany kapitał to należności, które powinny wejść do układu. My uważamy, że to należności bieżące. Bardzo mocno pracujemy nad informowaniem klientów, żeby nie wpłacali pieniędzy na rachunki VBL i VBLA, bo wciąż będą mieli nierozliczoną umowę. Słyszałem o klientach, którzy odzyskali wpłaty do VBL i VBLA i przelali pieniądze do nas, ale to jest długa i bolesna dla nich droga.

Jakie są wasze szacunki dotyczące odzyskania należności związanych z firmami VBL i VBLA?

Z tych wierzytelności, nad którymi mamy kontrolę, odzyskamy niemal wszystko. Owszem, jak w każdym większym portfelu są pewne zaległości, ale to jest całkiem normalne i zostało przez nas uwzględnione. Ale z tych pieniędzy, które trafiły i trafią do VBL i VBLA, obawiam się, że znaczna większość wierzycieli może nic nie odzyskać. Pieniądze te idą na bieżącą działalność lub też, jeśli pojawiają się nadwyżki, na finansowanie takich projektów jak Finpulse. Łącznie z tytułu m.in. błędnie wpłaconych rat, części rat w zakresie podatku VAT czy wypłat odszkodowań zobowiązania VBL i VBLA wobec PZA to już prawie 0,5 mld zł. Na przedstawionej w zeszłym roku prezentacji zarządca VBL poinformował, że spłaci zobowiązania wobec nas w maksymalnie 37 proc., jeśli plan restrukturyzacyjny, w tym IPO, się powiedzie.

Zarządca VBL zarzuca wam, że torpedujecie restrukturyzację, nasyłacie media na zarządców, podważacie społeczne zaufanie do całego procesu. Grozi też pozwem, jeśli przez wasze działania nie powiedzie się IPO Finpulse.

Wyjdźmy z oparów absurdu i demagogii. Porozmawiajmy o konkretach. Jesteśmy spółką BFG powołaną tylko w jednym celu: zarządzania złymi aktywami, pozostałymi po istotnej części grupy kapitałowej Leszka Czarneckiego. Otwarcie postępowania sanacyjnego nastąpiło na podstawie dokumentów zarządów spółek, bez wsparcia jakiegokolwiek wierzyciela. Zarząd, który doprowadził spółki do fatalnej sytuacji, wskazał zarządców restrukturyzacyjnych, a sąd to zatwierdził. Zarządcy kierują sprawy do sądów, sporządzają liczne pisma, ale od września zeszłego roku, odkąd jestem prezesem PZA, nie znaleźli czasu, żeby się ze mną spotkać i przekonać mnie do swoich planów. W dalszym ciągu nie wiem, jaki jest cel postępowania restrukturyzacyjnego, bo nie wiem, jakie mają być propozycje układowe dla wierzycieli. Dlaczego mają pojawić się dopiero w 2028 r.? Nagłaśniamy zauważone przez nas nieprawidłowości, bo ich efektem jest uszczuplenie masy sanacyjnej, a zatem obniżenie stopnia ewentualnego zaspokojenia wierzycieli. Mamy prawo, a wręcz obowiązek, stawiać konkretne pytania oraz informować opinię publiczną, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że finalnie chodzi o środki publiczne – klientów banków i podatników. ©℗

Pełną wersję wywiadu czytaj na dgp.pl

FOT. ŁUKASZ BERA/MAT. PRASOWE

Andrzej

Kublik

prezes zarządu PZA

PZA nie zależy na restrukturyzacji VBL

Z Mikołajem

Świtalskim

rozmawia Tomasz Jóźwik

W jakich okolicznościach został pan zarządcą restrukturyzacyjnym w firmie VB Leasing (VBL)?

Firma AMS Restrukturyzacje sp. z o.o. została powołana do pełnienia funkcji zarządcy postanowieniem Sądu Rejonowego dla Wrocławia-Fabrycznej w lipcu 2023 r. Działam w imieniu AMS Restrukturyzacje, spełniając ustawowe wymagania do pełnienia tej funkcji.

Kto pana wskazał do pełnienia funkcji zarządcy?

Wnioskował o to dłużnik, VBL, w ramach wniosku o otwarcie postępowania sanacyjnego, a sąd się do tego wniosku przychylił.

Czy pan pracował wcześniej dla firmy VBL lub był z nią w jakiś inny sposób związany?

Nie mógłbym być zarządcą, gdybym wcześniej pracował dla VBL. Wiem, że są wobec mnie formułowane takie zarzuty, jednak wynikają one z mylenia różnych podmiotów. W latach 2008–2013 współpracowałem ze spółką VB Leasing Polska S.A., która była podmiotem zależnym od austriackiej spółki VB Leasing International Holding GmbH. Mam wykształcenie prawnicze, znam niemiecki i branżę leasingową, więc zostałem zatrudniony przez Austriaków. Leszek Czarnecki nie miał wówczas z tą firmą nic wspólnego. Po globalnym kryzysie finansowym w 2008 r. wiele europejskich banków otrzymało pomoc publiczną, co wiązało się z koniecznością sprzedaży niektórych aktywów. W ten sposób w 2014 r. spółka VB Leasing Polska została sprzedana na rzecz jednej z firm z grupy Czarneckiego. Ale w czasie, gdy Austriacy szukali nabywcy, od dawna dla nich nie pracowałem. Nie miałem i nie mam żadnych związków z Czarneckim, co również mi się zarzuca.

W jakiej kondycji znajdowała się spółka VBL na starcie restrukturyzacji?

Co do zasady spółka, w której otwiera się restrukturyzację, jest w złej kondycji. Albo jest niewypłacalna, albo zagrożona niewypłacalnością. W przypadku VBL chodziło o ten drugi przypadek. Wynikało to głównie z konieczności płacenia miesięcznie 36–38 mln zł z tytułu podatku VAT. Już wyjaśniam, skąd problem. Spółka leasingowa zawierała umowę z klientem, po czym przepływy związane z tą umową sprzedawała finansującemu ją bankowi. Leasingobiorca spłacał raty wraz z VAT do banku. Dopóki VBL zawierała umowy i kupowała nowe przedmioty, związany z nimi VAT kompensowała z podatkiem należnym. Jednak w 2023 r. VeloBank – podmiot, który powstał na bazie aktywów Getin Noble Banku – wypowiedział VBL umowę. Musieliśmy więc w toku sanacji znaleźć pieniądze na zapłatę VAT, którego już nie mogliśmy kompensować, skoro nie kupowano nowych przedmiotów. Na rachunkach bankowych mieliśmy wtedy może kilkadziesiąt milionów złotych. Udało nam się zorganizować finansowanie pomostowe, ratowaliśmy się odraczaniem płatności podatku, ale ostatecznie udało się tę kwestię rozwiązać. Od początku restrukturyzacji odprowadziliśmy ok. 1 mld zł VAT i nie mamy z tego tytułu zaległości – poza relatywnie niewielką kwotą, rzędu 25–26 mln zł, uwzględnioną w spisie wierzytelności, której zapłata dopuszczalna będzie dopiero po zakończeniu sanacji. Obecnie VBL ma – okresowo – pewną nadpłynność finansową. Ona wynika z tego, że trwa postępowanie sanacyjne, wypracowywane są środki, ale nie ma jeszcze układu z wierzycielami. Na razie nie musimy więc spłacać zobowiązań układowych ujętych w spisie. Ujmując to precyzyjniej, zabrania nam tego prawo.

Czy gdyby spółka prowadziła do końca swój podstawowy biznes, to dałaby radę spłacić wszystkie swoje zobowiązania?

Nie w 100 proc. Duża część zobowiązań ma charakter warunkowy i wynika z udzielonej bankom gwarancji wykonania umów leasingowych przez klientów. Wiodący model finansowania działalności firm leasingowych w uproszczeniu wygląda tak, że bank pożycza firmie leasingowej pieniądze, ta podpisuje umowy z klientami i w miarę jak klienci płacą raty, firma spłaca pożyczony kapitał. W VBL sytuacja jest odwrócona. Firma zawarła umowy leasingowe, strumień płatności z nimi związany trafia do banku, a jednocześnie to na VBL spoczywała odpowiedzialność za spłatę zobowiązań przez le-

eprasa.pl 0c056d6efb

asingobiorców. Jeśli nie spłacają oni rat, to VBL zobowiązane jest do odkupienia od banku wierzytelności związanych z takimi umowami, a więc zapłaty przez to zobowiązań klienta. Ponieważ dzięki prowadzonej przez VBL obsłudze klienci w większości spłacają swoje umowy, to nasze zobowiązania związane z gwarancjami maleją. W planie restrukturyzacyjnym szacujemy, że na koniec 2028 r. będziemy mieli ok. 1,2 mld zł zobowiązań i ok. 300 mln zł na ich spłatę. Wierzyciele nie zostaną spłaceni w całości, ale też ich sytuacja jest różna. Bank Pekao i PZA, do których w toku sanacji trafiają strumienie płatności z tytułu umów leasingowych wraz z odsetkami, ekonomicznie zostaną zaspokojeni w 100 proc. W gorszej sytuacji znajdzie się ponad 3 tys. pozostałych wierzycieli uwzględnionych w spisie.

Na czym polega pomysł na restrukturyzację VBL?

Gdy spółka upada, jej aktywa sprzedaje się według wartości likwidacyjnej, a zgromadzony kapitał trafia do wierzycieli. W restrukturyzacji jest inaczej – zarządca pracuje nad zwiększeniem wartości powierzonego mu majątku, żeby w ten sposób podnieść stopień zaspokojenia wierzycieli. W przypadku VBL pomysł polega na tym, by zbudować wartość wybranych spółek z grupy kapitałowej i następnie je sprzedać. Mamy w grupie kapitałowej VBL firmę, która zajmuje się działalnością pożyczkową i skupuje wierzytelności. Inny podmiot zajmuje się windykacją, sprzedaje odzyskane przedmioty, ale też kupuje przedmioty i sprzedaje je na własny rachunek. Jest też spółka zajmująca się pośrednictwem ubezpieczeniowym związanym z leasingowanym majątkiem. Mamy też własną kancelarię windykacyjną. Działalność tych firm rozwijamy. Nasz plan restrukturyzacyjny został pozytywnie zaopiniowany przez radę wierzycieli i oczekuje na zatwierdzenie przez sędziego-komisarza. Piach w tryby sypie nam PZA, który zaskarża praktycznie wszystkie możliwe czynności, ale liczę, że ostatecznie doczekamy się zatwierdzenia planu.

Na końcu procesu rozwijania działalności spółek zależnych jest plan przeprowadzenia IPO i wprowadzenia na giełdę spółki Finpulse.

Tak. Na szczycie grupy kapitałowej zbudowanej ze spółek zależnych, których sprzedaż planujemy, ma stanąć Finpulse. Rozważamy debiut giełdowy, żeby w ten sposób uzyskać wycenę rynkową. Następnie za pośrednictwem giełdy sprzedamy pozostałe akcje, znajdujące się w masie sanacyjnej. Pozyskany w ten sposób kapitał trafi do wierzycieli.

Na jaką kwotę liczycie?

Ambitnie zakładamy, że spółka zostanie wyceniona na 100 mln zł, ale jeśli będzie to 80 mln, też będziemy zadowoleni. Odbyliśmy już wstępne rozmowy z potencjalnymi inwestorami i bankami inwestycyjnymi.

Jak rada wierzycieli odnosi się do waszego planu?

W radzie, którą kieruje Bank Pekao, jest pięciu członków. Rozmowy z radą nie są proste, ale ostatecznie doszliśmy do sytuacji, w której czterech członków pozytywnie zaopiniowało plan. Tylko PZA pozostaje przeciwne. W zasadzie we wszystkich kwestiach.

Rada wierzycieli zobowiązała was do przedstawienia dokumentów finansowych, na podstawie których sporządziliście plan restrukturyzacji. Według PZA do dziś nie wywiązaliście się z tego zobowiązania.

To nieprawda. Rada zobowiązała nas w sierpniu 2025 r. do przedstawienia kompletu dokumentów będących podstawą dla sporządzonych modeli finansowych. Taki komplet otrzymała w zeszłym roku, podobnie jak sędzia-komisarz.

Dlaczego pana zdaniem PZA, główny wierzyciel VBL, sprzeciwia się planowi restrukturyzacyjnemu?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba się cofnąć do przymusowej restrukturyzacji Getin Noble Banku. Gdy z aktywów GNB powstawał VeloBank, na rzecz nowego podmiotu ustanowiono zastaw rejestrowy na całym przedsiębiorstwie VBL i VB Leasing Automotive (VBLA). Przyszły nabywca VeloBanku nie kupił aktywów leasingowych, dlatego decyzją Bankowego Funduszu Gwarancyjnego zostały one przeniesione do PZA. Wraz z nimi do PZA trafiły również prawa związane z zastawem na majątku VBL. Ale prawo restrukturyzacyjne mówi, że zastaw lub inne obciążenie składnika majątku, np. hipoteka, są bezskuteczne, jeśli zostały ustanowione mniej niż 12 miesięcy przed otwarciem postępowania sanacyjnego. Zastaw ustanowiono w listopadzie 2022 r., a do otwarcia restrukturyzacji doszło w lipcu 2023 r. Jest on zatem bezskuteczny w stosunku do masy sanacyjnej. Tutaj jest jednak pewien niuans. W prawie upadłościowym analogiczny okres jest krótszy i wynosi sześć miesięcy. Gdyby zatem postępowanie restrukturyzacyjne zastąpić upadłościowym, to zastaw byłby skuteczny. W takim wypadku PZA miałby prawo do zaspokojenia z całego majątku VBL przed innymi wierzycielami. W praktyce dostałby wszystko, a dla pozostałych wierzycieli nie zostałoby nic. Jeszcze w 2023 r. VeloBank złożył wniosek o umorzenie postępowania restrukturyzacyjnego, poparty później przez PZA.

Czy nie ma szans na porozumienie z PZA?

Próbujemy, ale na razie bez rezultatu. Mieliśmy ostatnio rozprawę w sprawie sprzeciwu PZA do spisu wierzytelności. Trwała 3,5 godz. i nawet sędzia-komisarz namawiał nas do podjęcia mediacji. Chciałbym, żeby do niej doszło, choć potrzebny byłby tu ktoś z umiejętnościami z zakresu prawa, ekonomii i chyba również polityki, bo w grę wchodzi bardzo wiele czynników. Cały czas mam nadzieję, że ktoś w PZA w końcu policzy, co się im opłaca. Może zamiast wydawać miliony na walkę, rozsądniej byłoby usiąść do rozmów. W końcu PZA jest naszym największym wierzycielem i nikt tego nie neguje. Gdyby przedstawili swoje propozycje układowe, to powiedziałbym, by przekonali pozostałych wierzycieli i aby oni je przegłosowali. Taki układ byłby do przyjęcia. Tymczasem PZA robi wszystko, żeby postępowanie sanacyjne przestało się toczyć.

Może tutaj znaleźliśmy się blisko źródła całego problemu. Zakwalifikował pan wierzytelności PZA wobec VBL jako wierzytelności bez prawa głosu. W przeciwnym razie PZA miałoby większość i w radzie VBL, i w VBLA.

Rzeczywiście to zarządca, sporządzając spis wierzytelności, decyduje, czy dana wierzytelność ma czy nie ma prawa głosu. Chodzi o to, że PZA nabył wierzytelności już w trakcie postępowania restrukturyzacyjnego. Moje stanowisko jest takie, że w związku z tym wierzytelności te nie mają prawa głosu. Nie ma przy tym znaczenia, czy PZA nabyło je na drodze decyzji administracyjnej – jak w tym przypadku wydanej przez BFG – czy w wyniku innej czynności prawnej. Aktywa leasingowe zostały wydzielone, a PZA zapłaciło za nie określoną sumę na rzecz VeloBanku. Czyli to nie jest sukcesja generalna, taka jak dziedziczenie czy podział spółki, jak utrzymuje PZA. To spór prawny, który będzie musiał rozstrzygnąć sędzia-komisarz.

Według PZA zaczęliście realizować plan restrukturyzacyjny przed jego przedstawieniem radzie wierzycieli, gdy VBL pożyczyło spółce Finpulse kilkadziesiąt milionów złotych na początku 2025 r.

To jest pożyczka w kwocie ok. 50 mln zł, a model finansowy zakłada, że do końca bieżącego roku będzie to łącznie ok. 90 mln. Nie realizujemy planu restrukturyzacji, bo on oczekuje na zatwierdzenie, tylko prowadzimy działania, które mają zachować wartość firmy. Zarządca to nie syndyk, który odkłada środki finansowe na lokatę i liczy odsetki. Zarządca jest zobowiązany do utrzymania potencjału firmy i działań zwiększających wartość powierzonego majątku. VBL to grupa kilkunastu spółek, które współdzielą zasoby w ramach holdingu. Jeśli więc w jednej z firm pojawia się okresowa nadpłynność, to powinniśmy te środki inwestować. I tak robimy.

Większość leasingobiorców spłaca raty do PZA, ale niektórzy na rachunki VBL. Komu powinni płacić i jaka jest ich sytuacja?

Załóżmy dla uproszczenia, że wszyscy powinni wpłacać środki do PZA. W praktyce jednak VBL ma pewien własny portfel, więc klienci płacą raty też do VBL. Na fakturach są podane numery rachunków i są to rachunki w PZA. Jeśli klient się pomyli, co zdarza się coraz rzadziej, może się zwrócić do nas o zwrot błędnie wpłaconych środków. I my te pieniądze zwracamy, pod warunkiem że klient nie ma wobec nas zaległości związanych np. z opłatami wynikającymi z tabeli opłat i prowizji. Wtedy potrącamy należną kwotę, a pozostałą część zwracamy.

PZA uważa, że pieniądze, które klienci błędnie wpłacają na wasze rachunki, powinniście przekazać do PZA. Bo klient wpłaca pieniądze, jest przekonany, że spłacił ratę, tymczasem w PZA wciąż ma dług.

Nie mogę tych pieniędzy przelać do PZA. Mamy tutaj trzy podmioty: cedenta – VBL, dłużnika – leasingobiorcę i cesjonariusza – PZA. Odpowiedzialność cedenta realizowana jest na podstawie kontraktu, który będzie modyfikowany układem. Tak długo, jak nie ma układu, nie wiem, jakie kwoty powinienem przekazać. Świadczeń z wierzytelności objętych układem nie wolno spełniać. PZA twierdzi natomiast, że nie są to zobowiązania objęte układem, tylko bieżące. To też rozstrzygną sędzia-komisarz i sąd restrukturyzacyjny. Znacznie większy problem polega na tym, że klienci często nie mogą zarejestrować pojazdów wykupionych po zakończeniu umowy leasingowej. Samochody są trudne do zarejestrowania, ponieważ PZA poinformował wszystkie wydziały komunikacji, że ma zastaw na tych przedmiotach i że to on powinien wyrazić zgodę na ich zarejestrowanie.

Ale to dotyczy właśnie tych sytuacji, gdy leasingobiorcy spłacali raty na wasze rachunki, a powinni do PZA. Więc wciąż mają dług w PZA.

To nie ma znaczenia. Właścicielem auta będącego przedmiotem leasingu jest VBL. PZA nigdy tego samochodu nie przejęło. Gdyby tak było, to w ogóle nie istniałby problem VAT, o którym rozmawialiśmy na początku, bo musiałby go płacić PZA, który w takiej sytuacji stałby się leasingodawcą. PZA może mieć niezamknięte saldo danej umowy, ale w dalszym ciągu nie ma żadnych praw do własności przedmiotu leasingu. ©℗

Pełną wersję wywiadu czytaj na dgp.pl

FOT. MAT. PRASOWE

Mikołaj
Świtalski
kwalifikowany doradca restrukturyzacyjny (licencja nr 459), członek zarządu AMS Restrukturyzacje sp. z o.o.

eprasa.pl 0c056d6efb

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kosmiczne debiuty

Artur **Klimek**

Wejście na amerykański rynek giełdowy SpaceX, OpenAI i Anthropic zmienia reguły rządzące światem finansów. Łączną wartość emisji tych spółek technologicznych można szacować na ok. 200 mld dol. – to więcej niż wartość kapitału pozyskanego przez wszystkie firmy debiutujące na giełdach w USA w ostatniej dekadzie. SpaceX jest wyceniana na ok. 1,75 bln dol., a OpenAI i Anthropic – na prawie 1 bln dol., mimo że żadna z nich jeszcze nie wypracowuje zysków. Dla porównania – kapitalizacja Orlenu, najwyżej wycenianej polskiej firmy, to ok. 45 mld dol.

Chociaż firma SpaceX kojarzy się przede wszystkim z misjami kosmicznymi i konstelacją satelitów zapewniających internet w prawie każdym zakątku Ziemi, to trzeba ją rozpatrywać w kategorii spółek zajmujących się sztuczną inteligencją (AI). Jej założyciel i prezes Elon Musk snuje wizję centrów danych w kosmosie, a wysyłanie ładunków na orbitę traktuje jako narzędzie pozwalające budować infrastrukturę AI. Choć starty rakiet są ciągle bardzo drogie, to w ostatnich latach SpaceX znacząco obniżyła ich koszty.

Między debiutującymi spółkami, a także innymi firmami technologicznymi istnieją silne powiązania kapitałowe i personalne. Anthropic kupuje moc obliczeniową od SpaceX, która wchłonęła spółkę xAI. Alphabet jest właścicielem dużej części SpaceX. Niedawno zakończył się spór sądowy między Muskiem a OpenAI dotyczący odejścia tej ostatniej od formuły non profit.

Oprócz wielkości spółek liczy się wartość kapitału, który planują zebrać podczas wejścia na giełdę. Musk zamierza pozyskać rekordowe 75 mld dol. (poprzedni rekord z 2019 r. należał do Saudi Aramco i wyniósł prawie 26 mld dol.). Kwota ta może się wydawać skromna wobec gigantycznych wydatków zapowiadanych przez SpaceX, ale wiele ważnych postaci świata finansów jest przekonanych, że debiut zakończy się sukcesem. Mają go zagwarantować czołowe banki inwestycyjne organizujące operację wejścia na giełdę. Jamie Dimon, szef JPMorgan Chase, gorąco zachęcał inwestorów do zainteresowania się spółką, mimo że jego instytucja nie bierze bezpośrednio udziału w emisji akcji.

Nowością jest ustalenie dokładnej ceny (zamiast przedziału cenowego) na poziomie 135 dol., podobnie jak zapowiedzi zarezerwowania puli 30 proc. dla inwestorów indywidualnych. Ogromna wartość emisji przekłada się na niewielką część akcji spółki, które trafią do sprzedaży (tzw. free float). Zaledwie 4,2 proc. akcji przypadnie inwestorom, dzięki czemu prezes i dotychczasowi akcjonariusze zachowają prawie wszystkie udziały.

Oznacza to, że nikt nie zagrozi pozycji Muska w firmie i nikt nie będzie sprawować nad nim kontroli. To znaczące odejście od reguł rządzących spółkami giełdowymi, które mają wiele obowiązków wobec inwestorów. Ci ostatni mogą nawet doprowadzić do zwolnienia szefa firmy. Tradycyjnie debiutująca spółka musi też zabiegać o to, aby spełnić wygórowane wymogi instytucji kapitałowej. W przypadku SpaceX jest całkiem inaczej – to ona dyktuje warunki, a Musk jest postrzegany jako jej najważniejsza wartość.

Niemal natychmiastowe włączenie firmy do indeksów NASDAQ 100 i Russel 1000 oznacza, że jej akcje muszą się znaleźć w portfelach funduszy będących odwzorowaniem tych indeksów niezależnie od intencji inwestorów. Inaczej zachował się S&P Dow Jones, który nie zgodził się na ekspresowe wejście spółki do indeksu S&P 500.

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 0c056d6efb

OPINIA

SpaceX, OpenAI i Anthropic to dojrzałe biznesy, od wielu lat wspierane przez inwestorów na rynku prywatnym, którzy poszukują teraz sposobu na spieniężenie swoich udziałów. Wejście na giełdę trzech spółek zajmujących się AI może być punktem zwrotnym: albo wykażą one dalszy potencjał wzrostu, albo debiut stanie się dla dotychczasowych właścicieli okazją do realizacji zysków w najlepszym momencie. Choć twarzami tych firm są Musk, Altman i Amodei, to stoją za nimi duże banki, fundusze inwestycyjne i inne spółki technologiczne. Wszyscy oczekują, że AI w końcu zacznie przynosić ogromne pieniądze. Firmy wydają bajońskie sumy na rozwój, ale osiągają dużo niższe przychody, co nie pozwala na wypracowanie zysków.

Pojawiają się pytania, czy apetytu inwestorów wystarczy na trzy megadebiuty. Giganci technologiczni sięgają właśnie po dodatkowy kapitał w związku z rosnącymi wydatkami na rozbudowę infrastruktury AI. Alphabet już wcześniej zaczął pozyskiwać od inwestorów 80 mld dol. na te cele.

Wejście na giełdę SpaceX, OpenAI i Anthropic jeszcze bardziej zwiększy udział w niej podmiotów zależnych od technologii. Może to dodatkowo wzmocnić amerykański parkiet kosztem m.in. europejskiego rynku kapitałowego. Jednocześnie rośnie ryzyko koncentracji. O ile do niedawna dominowało siedem spółek technologicznych określanych mianem Magnificent 7, o tyle dołączenie do nich kolejnych firm może ten obraz zaburzyć.

Co ważne, megadebiuty odbywają się w momencie, gdy na Bliskim Wschodzie wciąż toczy się wojna, w wielu krajach rośnie inflacja, a w tle krążą pogłoski o bańce AI. Wszystko to może nasilać zmienność na rynkach kapitałowych.

Trudno oceniać wyniki inwestycji w daną spółkę w krótkim terminie. Różne ograniczenia sprawiają, że cała podaż akcji nie trafia od razu na rynek. Dlatego sensownej oceny stopy zwrotu można dokonać po przynajmniej roku od debiutu. Zdarza się, że po kilku latach spółka jest notowana dużo niżej niż w momencie wejścia na giełdę. ©℗

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

Mniej Więcej

Łukasz
Wilkowicz

Nibyboom hipoteczny

W pierwszych pięciu miesiącach 2026 r. klienci krajowych banków złożyli ponad 230 tys. wniosków o kredyt mieszkaniowy. Takiego zainteresowania nie było od 2021 r., czyli od czasu niemal zerowych stóp procentowych. Tylko w maju 2026 r. liczba wniosków przekraczała 45 tys. Kredyty są w dużej mierze faktycznie udzielane, ale nie skutkuje to mocnym wzrostem portfela banków. Powód? Znaczna część wniosków dotyczy refinansowania istniejących kredytów z wyższym oprocentowaniem. Przeciętne oprocentowanie nowych kredytów hipotecznych w kwietniu (to najnowsze dostępne dane) wynosiło 5,9 proc. Rok wcześniej było to 7,4 proc. ©℗

Wnioski o kredyt hipoteczny

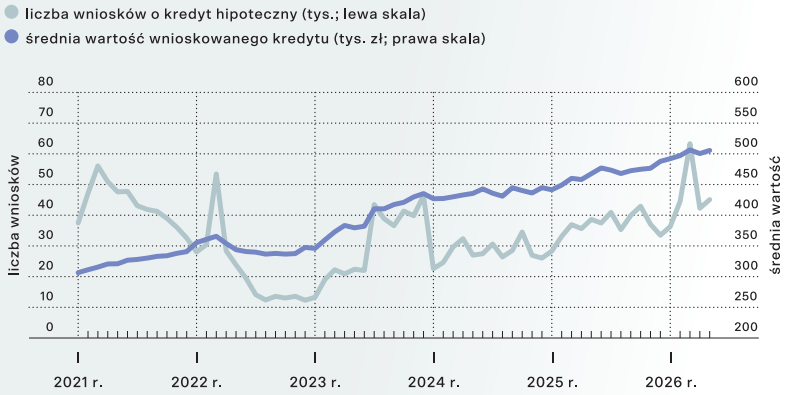

Źródło: BIK LR ©℗

Złoto świeci trochę słabiej

Cena złota na światowych rynkach w marcu przekraczała 5,3 tys. dol. za uncję; na początku czerwca było to jeszcze ponad 4,5 tys. dol. W ostatnich dniach złoto potaniało już do ok. 4,1 tys. dol., co oznacza najniższy poziom w tym roku. W efekcie kruszec – przynajmniej w perspektywie krótkoterminowej – stracił nieco powabu bezpiecznej przystani, czyli zabezpieczenia na czas niepewności na rynkach oraz ochrony przed inflacją. Taniejący kruszec to również niedobra wiadomość dla Narodowego Banku Polskiego, jednego z najbardziej aktywnych inwestorów w złoto w skali globalnej. ©℗

Cena złota
(dol./uncja w kontraktach futures)

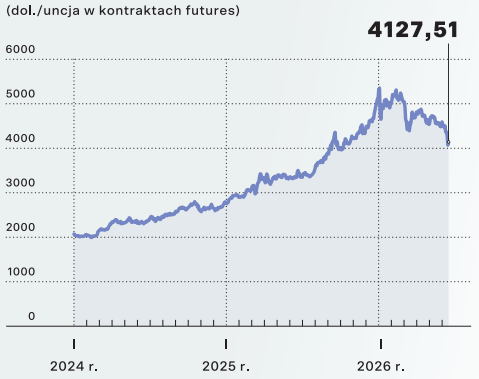

Źródło: Investing.com LR ©℗

Jak przybywa miliarderów

W ostatnich dniach karierę robi prognoza firmy nieruchomościowej Knight Frank dotycząca przyrostu liczby dolarowych miliarderów w Polsce. Do 2031 r. w ujęciu procentowym lepiej od nas ma wypaść tylko Arabia Saudyjska. Tam liczba miliarderów w ciągu pięciu lat ma się niemal potroić. U nas ma ich być ponad dwa razy więcej niż obecnie, z tym że ten przyrost przekłada się na 16 nowicjuszy w gronie miliarderów. Na całym świecie liczba osób o takim statusie w ciągu najbliższych pięciu lat ma się zwiększyć z 3,1 tys. do 3,9 tys. ©℗

Prognozowany wzrost populacji bogaczy
(miliarderzy dolarowi; zmiana w proc.)

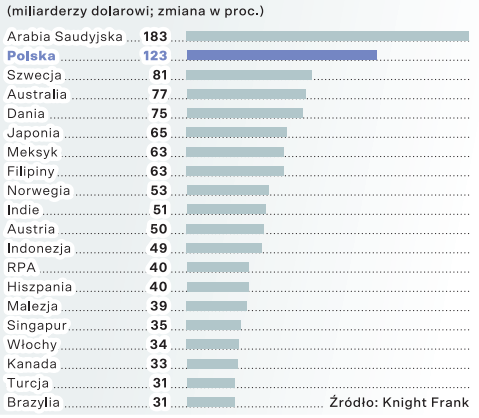

LR ©℗ Źródło: Knight Frank

eprasa.pl 0c056d6efb

Historia

Prezydentura skandali

Rządy Warrena Hardinga przeszły do historii USA jako najbardziej skorumpowane. Jest szansa, by to się zmieniło

Andrzej

Krajewski

Nad Donaldem Trumpem kłębią się coraz ciemniejsze chmury, ale jedna rzecz mu się udaje – zabezpieczanie prywatnych dochodów rodziny, krewnych i przyjaciół.

Członkowie familii, na czele z zięciem Jaredem Kushnerem, ubijają wielomiliardowe interesy z zagranicznymi kontrahentami i zawierają transakcje z ministerstwami. A jednocześnie Trump narzucił ugodę federalnemu urzędowi skarbowemu (IRS), która przewiduje, że urzędnicy już nigdy nie będą mogli prześwietlić finansów prezydenta, jego synów, dalszych krewnych oraz ich firm.

Te wszystkie działania mogą zaowocować tym, że ciesząca się wyjątkowo złą sławą administracja Warrena Hardinga zostanie w końcu zrehabilitowana. Ponieważ to, co jej członkowie wyprawiali 100 lat temu z groszem publicznym, było niewinną igraszką wobec tego, co obecnie dzieje się w USA.

Lubiany prezydent

„W chwili śmierci w 1923 r. Harding był uwielbiany przez Amerykanów. Według wszystkich relacji był życzliwym człowiekiem, szczerze zainteresowanym innymi ludźmi. Nie miał ani krzty poczucia własnej wyższości, a jego uśmiech rozgrzewał każdego, kogo spotykał" – pisze w książce „The Strange Deaths of President Harding" Robert H. Ferrell.

Poza sympatycznym zachowaniem zaoferował Amerykanom to, czego oczekiwali po szoku wywołanym I wojną światową i coraz bardziej represyjną polityką Woodrowa Wilsona. W tamtym czasie nie dość, że ponad 116 tys. żołnierzy nie wróciło z Europy, to inne koszty konfliktu okazały się wysokie. Konieczność rozbudowy armii wymusiła podniesienie podatków – najwyższa stawka podatku dochodowego wzrosła z 7 proc. do aż 77 proc. Kiedy wzbudziło to opór, Wilson w 1918 r. przeforsował Sedition Act (ustawę o buncie). Stanowił on, że publiczne krytykowanie wysiłku wojennego USA jest nielegalne. Na mocy tej ustawy aresztowano setki osób, w tym wielu działaczy związkowych. Jednocześnie amerykańska gospodarka zaczęła pogrążać się w recesji. Obywatele mieli już serdecznie dość wysokich danin, cenzury i zajmowania się kłopotami Europejczyków.

Kandydujący z ramienia Partii Republikańskiej na prezydenta były dziennikarz oraz wydawca prasowy Warren Harding kluczowe przemówienie wyborcze zatytułował „Powrót do normalności". Oświadczał: „Obecną potrzebą kraju nie jest bohaterstwo, lecz uzdrowienie; nie cudowne lekarstwa, lecz normalność; nie rewolucja, lecz odnowa". Podkreślał: „Wielka liczba ustaw i nadmiar władzy państwowej nie oferują nawet substytutu dobrego życia obywatelom". Obiecywał odwrót od polityki Wilsona, likwidację represyjnych praw i obniżkę podatków. A także izolacjonizm – jako prezydent nie zamierzał podpisać się pod dziełem życia poprzednika, jakim były traktat wersalski oraz Liga Narodów.

Dzięki takiemu programowi w listopadzie 1920 r. Harding wygrał wybory, niemal nie prowadząc kampanii. Z wyborcami komunikował się jedynie za pośrednictwem prasy i ulotek. Mimo to pokonał kandydata demokratów Jamesa Coxa, otrzymując o 7 mln głosów więcej; to przełożyło się na trzykrotną przewagę w Kolegium Elektorów (404 do 127).

Przez dwa lata Harding dotrzymywał słowa danego wyborcom. Ameryka podpisała osobne umowy z państwami dawnego bloku centralnego, ignorując traktat wersalski. Podobnie ignorowała Ligę Narodów oraz kluczowe problemy Starego Kontynentu, nękanego powojennym kryzysem. A nominowany na stanowisko sekretarza skarbu multimilioner z branży bankowej Andrew Mellon zredukował wydatki rządowe oraz obniżył podatki. „PKB znacznie się odbudował i nadal rósł przez kolejne kilka lat, a stopa bezrobocia szybko spadła do poziomu, który można uznać za odpowiadający pełnemu zatrudnieniu" – opisują w opracowaniu „Reputation Overrides Record: How Warren G. Harding Mistakenly Became the «Worst» President of the United States" Gary M. Pecquet i Clifford F. Thies.

Prezydent Warren Harding podpisuje ustawę Clappera-Volsteda z 1922 r.

To wyjaśnia, dlaczego zwykli Amerykanie tak polubili nowego prezydenta, starając się nie dostrzegać jego słabości, choć on sam zupełnie stracił kontrolę nad swoimi przywarami.

Król życia

Gdy Harding wprowadzał się do Białego Domu, w USA wchodziła właśnie w życie prohibicja. Będąc jeszcze republikańskim senatorem, do pomysłu zakazu sprzedaży i konsumpcji alkoholu podchodził sceptycznie. Ale kiedy w Partii Republikańskiej zwolennicy prohibicji zaczęli dominować, popłynął z prądem i w grudniu 1917 r. zagłosował za wprowadzeniem do konstytucji osiemnastej poprawki. Zaś początek obowiązywania zakazu powitał słowami: „W naszej społeczności mężczyźni i kobiety mają okazję poznać, co oznacza prohibicja. Wiedzą, że długi są spłacane szybciej, że mężczyźni zabierają do domu pensje, które kiedyś marnowali w barach, że rodziny są lepiej ubrane i nakarmione, a więcej pieniędzy trafia do kas oszczędnościowych. Handel alkoholem niszczył wiele z tego, co najcenniejsze w życiu Amerykanów. Wierzę, że za kolejne pokolenie alkohol zniknie nie tylko z naszej polityki, ale i z naszej pamięci".

Po czym zapewne uraczył się szklaneczką whisky. Zarówno Robert H. Fer-

eprasa.pl 0c056d6efb

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

rell, jak i inni biografowie Hardinga twierdzą, iż pił alkohol codziennie i to w dużych ilościach. Ani wprowadzenie prohibicji, ani zamieszkanie w Białym Domu zupełnie mu w tym nie przeszkadzały. Żył tak, jak lubił – a to oznaczało alkohol, hazard i romanse.

Zatem w weekendy Biały Dom zamieniał się w miejsce spotkań przyjaciół prezydenta. Ten częstował ich przeróżnymi trunkami skonfiskowanymi przemytnikom, rozgrywano kilka partyjek pokera, ewentualnie Harding proponował przyjaciołom inne gry. W ten sposób cały pakiet ustaw oraz konstytucję regularnie łamała większość gabinetu prezydenta oraz śmietanka Partii Republikańskiej.

Jeśli idzie o romanse, to Harding zachowywał się o wiele dyskretniej, bacząc na dobre samopoczucie żony. Zatem z kochankami – Carrie Fulton Phillips oraz Nan Britton – starał się widywać tak, aby pozostało to w tajemnicy. Choć nie bardzo mu się to udawało – Phillips miała kolekcję ok. tysiąca erotycznych listów przesyłanych jej od 1909 r. przez przyszłego prezydenta; pobierała więc haracz od republikanów za powstrzymywanie się przed ich publikacją. Natomiast młodsza od Hardinga o 30 lat pani Britton w 1919 r. zaszła w ciążę i urodziła córeczkę Elizabeth. Przez długie lata biografowie Hardinga uznawali ją za oszustkę, przekonani, iż prezydent był bezpłodny. Jednak przeprowadzone w 2015 r. badania DNA jednoznacznie dowiodły, iż Nan Britton w opublikowanej w 1927 r. książce „The President's Daughter" nie skłamała.

Zatem w drugim roku prezydentury Warren Harding miast cieszyć się życiem, miał coraz więcej powodów do stresu. Pogłębiający się alkoholizm niszczył mu zdrowie, uzależnienie od hazardu pożerało pensję. Dwie kochanki groziły upublicznieniem opowieści o romansach. Na dokładkę bardzo zazdrosna żona już się o wszystkim dowiedziała. Jednak Hardinga do grobu wpędzili najbliżsi przyjaciele.

„Gang z Ohio"

„Pierwsze publiczne doniesienie o jakimkolwiek skandalu pojawiło się w styczniu 1923 r. i dotyczyło Biura ds. weteranów" – opisują Pecquet i Thies. „Organizacja ta powstała z połączenia kilku agencji rozproszonych po rządzie federalnym i szybko się rozrosła, aby poradzić sobie z dużą liczbą weteranów powracających z I wojny światowej" – dodają.

Harding powierzył kierowanie agencją przyjacielowi, ppłk. Charlesowi Forbesowi. W ciągu ledwie 18 miesięcy urzędowania udało mu się zdefraudować ponad 200 mln dol. (dziś byłoby to niemal 4 mld). Wycisnął je z łapówek, ustawionych przetargów oraz sprzedaży na lewo medykamentów kupowanych dla weteranów. Jako że Forbes regularnie bywał w Białym Domu, gdzie upijał się z prezydentem i ogrywał go w pokera, kradł wyjątkowo bezczelnie. Nie uszło to uwagi demokratycznego senatora Burtona K. Wheelera, któremu udało się doprowadzić do wszczęcia śledztwa przez specjalną senacką komisję. „Wkrótce potem dwóch członków administracji popełniło samobójstwo: Charles F. Cramer, główny radca prawny Biura ds. Weteranów, i Jess Smith, asystent prokuratora generalnego" – opisują Pecquet i Thies.

Według relacji świadków rozwścieczony Harding, po zapoznaniu się ze skalą nadużyć, podczas wizyty Forbesa w Białym Domu chwycił przyjaciela za gardło. Dusząc go, żądał dymisji oraz wyjazdu z USA. Skończyło się na kompromitującym dla Białego Domu procesie, podczas którego prasa szczegółowo donosiła o nadużyciach byłego już dyrektora Biura ds. Weteranów. Ale wyrok nie był surowy. Forbes musiał zapłacić 10 tys. dol. odszkodowania oraz na dwa lata trafił do więzienia.

Na tym problemy prezydenta z przyjaciółmi się nie skończyły. „Wymuszone rezygnacje i samobójstwa wzbudziły podejrzenia" – relacjonują Pecquet i Thies. Wśród dziwnych rezygnacji uwagę kongresmenów przykuło odejście sekretarza spraw wewnętrznych, odpowiedzialnego m.in. za zasoby surowców naturalnych. Albert Fall od lat trzymał z Hardingiem, uwielbiali wspólne libacje i palenie cygar. Gdy na początku 1923 r. ten nagle oświadczył, że rzuca pracę dla rządu, Harding wystawił mu list. Napisał, iż ręczy za uczciwość odchodzącego współpracownika.

Jednak Fallem szybko zajęli się śledczy. A „Senacka Komisja ds. Gruntów Publicznych przeprowadziła przesłuchania w sprawie dzierżaw pól naftowych stanowiących Rezerwę Naftową Marynarki Wojennej" – informują Pecquet i Thies. „W 1922 r. sekretarz spraw wewnętrznych Albert B. Fall wydzierżawił Sinclair Oil pole naftowe w Wyoming (...) oraz kolejne pole naftowe w Elk Hills w Kalifornii firmie Pan American Oil na mocy prywatnych umów bez przetargu" – uzupełniają. Do tego jeszcze dorzucił federalne fundusze na budowę rafinerii, rurociągów i magazynów paliw. Prowadzący dochodzenie ustalili, że w zamian za tę hojność zainkasował 385 tys. dol. łapówek (dziś byłoby to ponad 7,6 mln). Wiosną 1923 r. w amerykańskiej prasie zaczęły się pojawiać komentarze, że Stanami Zjednoczonymi rządzi „gang z Ohio". Stamtąd bowiem wywodził się prezydent i większość jego znajomych.

Ostatnia podróż prezydenta

Przygnębiony Harding – zdradzany przez chciwych przyjaciół, walczące o swoje prawa kochanki, dociekliwy Kongres oraz szukającą sensacji prasę – postanowił wyjechać z Waszyngtonu. Swój exodus nazwał „Voyage of Understanding" (Podróżą zrozumienia) – wyruszył 20 czerwca 1923 r.

Przez dwa miesiące zamierzał pokonać 15 tys. mil, wizytując wszystkie stany. „Mimo wyraźnego fizycznego i psychicznego zmęczenia, zdawał się w transkontynentalnej podróży niezdolny do odpoczynku czy relaksu. Przykuty do pluszowej kanapy, stawał się niespokojny, nigdy nie wysiadywał długo na swoim miejscu, lecz kręcił się z boku na bok i spoglądał przez okna na brązowiejący krajobraz. Przede wszystkim pragnął grać w brydża, a kiedy nie siedział przy stole, chciał rozmawiać. Nigdy nie chciał być sam" – opisuje w biografii „The Shadow of Blooming Grove: Warren G. Harding in His Times" Francis Russell.

Otoczenie z niepokojem zaczęło dostrzegać, że jego stan się pogarsza. Kryzys nadszedł podczas przemówienia na wypełnionym po brzegi stadionie w Seattle. „Osoby siedzące w pobliżu widziały wyczerpanie wypisane na jego zwiotczałej twarzy, lekko zielonkawy odcień policzków i ból zaciskających się szczęk. Kilkakrotnie podczas przemówienia zawahał się, bełkotał, nazywając Alaskę «Nebraską». W połowie upuścił rękopis i chwycił oburącz mównicę przed sobą" – relacjonuje Francis Russell. Prezydencki lekarz Charles E. Sawyer bagatelizował problemy, diagnozując zatrucie pokarmowe.

Tymczasem powodów do stresu przybywało. Zaczęło bowiem wychodzić na jaw, dlaczego Jess Smith, ▷

eprasa.pl 0c056d6efb

asystent prokuratora generalnego Harry'ego M. Daugherty'ego, popełnił samobójstwo. Spośród przyjaciół prezydenta to właśnie prokurator był dla niego najbliższą osobą. Poznali się w Ohio we wczesnej młodości i nawzajem wspierali podczas robienia politycznych karier. To Daugherty w 1920 r. wymyślił, jak powinna przebiegać kampania wyborcza Hardinga i nią kierował. Także wcześniej i później był tym, który mówił Hardingowi, jakiej strategii politycznej się trzymać. Najbliższe otoczenie uważało go za mentora prezydenta. Ale prokurator generalny też dbał o własne interesy. Oferował wpływowym osobom, oskarżonym lub już skazanym, „kupno" umorzenia sprawy, ewentualnie prezydenckiego ułaskawienia. Pobierał opłaty od gangów przemytniczych za nieformalne koncesje na wwóz alkoholu do USA. Zarabiał też na jego sprzedaży, stając się największym beneficjentem pierwszych lat prohibicji. Transakcje załatwiał przeważnie za pośrednictwem Smitha. Aż ten 30 maja 1923 r. wszedł do waszyngtońskiego apartamentu, który dzielił z prokuratorem generalnym, i pod jego nieobecność strzelił sobie w głowę. Wedle śledczych nikt mu nie pomógł, choć długo nie chciano dać temu wiary.

Kolejne informacje o imperium korupcyjnym, jakie zbudował Daugherty, stały się dla Hardinga potężnym ciosem. To coraz mocniej podnosiło mu ciśnienie. I właśnie nadciśnienie tętnicze, ignorowane przez lekarza, wieczorem 2 sierpnia 1923 r. zabiło Warrena Hardinga w San Francisco. Do aktu zgonu wpisano jako przyczynę śmierci udar mózgu, acz biografowie twierdzą, że raczej był to rozległy zawał. Amerykanie żegnali lubianego prezydenta z żalem. Acz bardzo szybko zmienił się on w pogardę. Rozliczanie „gangu z Ohio" przez liczne komisje zamieniło się w medialny spektakl, którym żyły całe Stany Zjednoczone. Albert Fall trafił do więzienia, acz dopiero po licznych apelacjach w 1931 r. Natomiast najsprytniejszy ze wszystkich Daugherty wywinął się od kary.

Stali się oni jednymi z wielu bohaterów spektaklu odgrywanego przez komisje śledcze. „Podczas tych przesłuchań padło wiele absurdalnych oskarżeń i wezwano szereg sensacyjnych świadków. Wśród nich znalazło się oskarżenie o otrucie Hardinga. Najbardziej sensacyjnymi świadkami byli Roxy Stinson, była żona Jessa Smitha; Gaston Means, oszust i łobuz, który jako agent Biura Śledczego prowadził brutalną inwigilację dwóch senatorów biorących udział w przesłuchaniach; oraz George Remus, znany przemytnik alkoholu" – relacjonują Pecquet i Thies. Amerykanie z fascynacją to śledzili, a reputacja nieżyjącego już Warrena Hardinga zupełnie legła w gruzach. Choć jego największą winą okazywało się to, że bezgranicznie ufał przyjaciołom od kieliszka i uwielbiał dobrze się zabawić. ©℗

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl

(Nie)pamięć zbrodni

Historia pełna jest zabójstw z nienawiści, chęci zysku czy w imię idei. Opowieści te najczęściej kończą się na akcie samej zbrodni, ewentualnie sądowego wymierzenia sprawiedliwości, pomijając późniejsze doświadczenia sprawcy i bliskich ofiar

Sebastian

Pawlina

Zabicie człowieka jest złem pozostawiającym ślad w duszy mordercy – tego od wieków uczą nas największe światowe religie. Złamanie piątego przykazania z Dekalogu, tak jak każdego innego, skutkuje oddaleniem człowieka od Boga. W Koranie zapisano, że kto morduje niewinnego człowieka, morduje całą ludzkość. Buddyzm zakaz zabijania wymienia wśród swoich pięciu (pañca-sila), ośmiu (attha-sila) i dziesięciu (dasa-sila) wskazań – zawsze na pierwszym miejscu. W hinduizmie morderstwo skutkuje powstaniem negatywnej karmy, która ma wpływ na przyszłość człowieka, zaś judaizm operuje pojęciem niewinnej krwi, która przelana domaga się sprawiedliwości. Starożytni Grecy wierzyli, że morderstwo nakłada na sprawcę skazę określaną jako miasma, od czego wzięliśmy nasze miazmaty.

W wielu kulturach śmierć zadana drugiemu człowiekowi wymaga od sprawcy rytuałów oczyszczenia. Także każda z wymienionych religii daje szansę na pokutę i przebaczenie. W swojej najnowszej książce „W tym domu już nie straszy" Paweł Piotr Reszka przytacza wypowiedź rabina Yehoshuy Ellisa, który twierdzi, że konsekwencje grzechu takiego jak zabójstwo trwają przez pokolenia. „W Torze napisano, że potomkowie płacą za grzechy ojców do trzeciej i czwartej generacji. Jednak tylko gdy sami je powtarzają. Czy nienazwanie zła złem, brak refleksji, próby oczyszczenia mogą być powielaniem grzechu? Uważam, że w jakimś sensie tak" – opowiada. Ale dodaje również, że niektórzy znawcy Tory ten jej fragment tłumaczą zjawiskiem traumy, która musi zostać przepracowana, tak jak grzech odpokutowany. I Reszka udowadnia, że prawdy znane z religii i psychiatrii są codziennością ludzi naznaczonych zbrodniami sprzed lat.

Wiedziała cała wieś

Przed wojną mieszkali w Lublinie, przy ul. Zamojskiej. Rodzice, Moszek i Szprynca, oraz trójka ich dzieci – Natan, Róża i Dawid. Potem wkroczyli Niemcy. Z dnia na dzień wychodzenie na ulice stało się dla Żydów niebezpieczne. Regularnie słyszało się, że ktoś został pobity do krwi, kogoś zmuszono do publicznego darcia Tory. Ale Moszek z synami i mężem Róży znaleźli wyjście z sytuacji. Zaczęli jeździć na wieś. Najpierw do znajomego gospodarza, Władysława, a potem do innych. Zarabiali tak jak wcześniej, szyjąc. Ludzie cenili ich pracę. Gdy w związku z tworzeniem getta w Lublinie nakazano im przeprowadzkę, spakowali się i wyjechali z miasta. Zatrzymali się w Krężnicy Jarej, u Władka, który wynajął im dwie izby. Z czasem rodzina się rozdzieliła. Gdzie indziej ojciec, gdzie indziej bracia, tak samo matka z córką, której po krótkiej chorobie zmarł synek. Chłopiec miał cztery miesiące. Pochowano go w lesie, nocą. Tej śmierci, choć była naturalna, gdyby nie wojna, pewnie udałoby się uniknąć – znaleźć lekarza i leki.

Niedługo później kobiety dowiedziały się, że Moszek, Natan i Dawid też nie żyją. Młodsza pobiegła do Władka, u którego ukrywali się jej bracia. Gospodarz kazał jej się wynosić. „Do tej pory Róża i jej matka ukrywały się, teraz będą ukrywać się i prowadzić własne śledztwo, potem będą ukrywać się i walczyć o sprawiedliwość" – pisze Reszka.

Po kawałku składały historię w całość, aż prywatne dochodzenie zamieniło się w takie z prawdziwego zdarzenia, z prokuratorem i sądem. We wsi wiedziano, że to Władek i rodzina zabili. Stanisław, syn, wygadał kiedyś po wódce, jak do tego doszło. Być może zrobili to ze strachu przed Niemcami, może z chciwości, tyle przecież słyszało się o złocie i pieniądzach ukrywanych przez Żydów. Cała sprawa toczyła się jednak tak, jakby nikomu specjalnie nie zależało na ukaraniu sprawców. Gdy Marianna, żona Władka, która miała być inspiratorką zabójstwa, uciekła z gospodarstwa, w którym pracowała jako więźniarka, nikt jej przesadnie intensywnie nie szukał. Nawet gdy wróciła do swojej wsi, milicja nie próbowała jej złapać. Na ogłoszeniu wyroku też jej nie było, ale to nie miało znaczenia, sąd i tak ich uniewinnił. Sąsiedzi jednak nie dali im zapomnieć o tym, co zrobili – choć zeznawali na ich korzyść. Jeszcze za Niemców wykopali jedno z ciał z pola, na którym je pogrzebano, i zanieśli im na podwórze. Choć Reszka sugeruje, że za tym mogła stać również złość na to, że Władek nie chciał oddać córki jednemu z kopiących. I jeszcze gdy wyciągali ciało, byli po kilku głębszych. „Więc jednak nie sumienie, ale żart" – kwituje autor. Ale później było już inaczej.

Ile trwa pamięć

Po procesie Władysław wrócił do wsi. Widać było, że się zmienił, twarz pokrywały mu wrzody. Zmarł kilka lat później.

Ale niewinna krew ciążyła na jego bliskich. Najmocniej chyba doświadczył tego Stanisław. Jeden z ówczesnych mieszkańców wsi, późniejszy sołtys, powiedział Reszce: „Stachowi i w ogóle tej rodzinie nikt za bardzo pomagać nie chciał. Potem brali do pomocy krewnych z innej wsi. Bo własna wolała ich nie widzieć, właśnie za to, co zrobili. Tyle lat tu przeżyłem, opowiadał mi gospodarz, i wiem, do tego się chodziło, do tamtego, a do nich nie. Ani pogadać, ani na wódkę. Stachowi na pewno niełatwo z tym było, nawet wyspowiadać się pewnie z tego, co zrobił, nie mógł i ulgi zaznać. Ludzie do nich nie chodzili i to była taka kara za tę zbrodnię, trwa tyle, ile ludzka pamięć o niej".

Ale to wszystko wrosło też w miejsce. Po latach mąż wnuczki Stanisława sprzedał ich dom. Kupiło go małżeństwo z miasta. Ona na emeryturze, on jeszcze pracował. Chcieli się przenieść na wieś. I na początku było dobrze. Aż przyszedł proboszcz po kolędzie i zapytał, czy wiedzą, co tu się stało. Nie wiedzieli. „To lepiej, żeby pan nie wiedział, odparł ksiądz i zaczął się modlić. Chodził i święcił, gorliwie jakoś, zauważyła córka" – opowiadał mężczyzna reporterowi. Zaczęli więc pytać, słuchać, składać w całość opowieść, a potem to już żałowali, że wydali pieniądze na to. Ale tabliczkę z nazwiskiem poprzednich właścicieli zostawili, żeby inni wiedzieli, „kto za to odpowiada, kto tu mieszkał".

Jak złamać człowieka

We wsi krążyły opowieści o tym, co spotykało członków rodziny Władka. Ktoś spłonął w swoim mieszkaniu, inny groził żonie nożem, zaś Marianna pod koniec życia upadła i złamała biodro. „Długie miesiące leżała, oczu zamknąć nie mogła, jakby uwięziona między życiem a śmiercią" – mówiła żona jej wnuka. Czy to fatum, karma, pokuta za grzech? Gdyby przyjąć wyjaśnienia religijne, to cierpieli za zbrodnię, której nie żałowali. Umknęli prawu, ale dopadły ich ostracyzm społeczny i kara boska.

Swoje zrobiła też natura. Zabicie drugiej osoby jest gwałtem na własnej psychice. Im bliższy kontakt z ofiarą, tym większe spustoszenie może to wywołać w umyśle zabójcy. Specjaliści od psychologii zabijania, tacy jak Dave Grossman, psycholog związany z Akademią West Point i emerytowany podpułkownik armii Stanów Zjednoczonych, są zgod-

eprasa.pl 0c056d6efb

ni, że największą łatwość w zabijaniu mają ci, którzy nie widzą swojej ofiary. W wojennej praktyce są to artylerzyści, załogi samolotów, operatorzy dronów. Dla nich ofiara jest cyfrą w kolumnie strat wroga. Nie widzą jej twarzy, nie słyszą, jak błaga o litość, nie czują zapachu krwi. Szczególne wrażenie robią ponoć oczy. To dlatego ludzie przed plutonami egzekucyjnymi często mają je zasłonięte opaskami – chroni się w ten sposób psychikę strzelających. Na drugim biegunie są ci, którzy mordują własnymi rękoma. Tak jak Władysław z rodziną, którzy Moszka, Natana i Dawida zabili widłami i siekierą.

Jeszcze zanim sąd uniewinnił sprawców, Szprynca i Róża wyjechały za granicę. Zaczęły nowe życie. Obie ponownie wyszły za mąż, Róża urodziła drugiego syna, Maurice'a. Z przeszłością radziły sobie różnie. Matka zamknęła ją szczelnie, nigdy nie opowiadała o wojnie. Córka mówiła dużo. O śmierci synka, o życiu w kryjówce, o pierwszym mężu, który przyłączył się do partyzantów i nie wrócił.

Reszka pokazuje tu dwie z wielu strategii radzenia sobie z utratą bliskich, którzy zginęli w nie do końca jasnych okolicznościach. Dzisiaj psychiatrzy uważają, że najlepszym sposobem na złagodzenie traumy jest mówienie o niej. Zespół naukowców z Uniwersytetu Warszawskiego (wśród wśród nich Maja Lis-Turlejska, Marcin Rzeszutek czy Małgorzata Dragan) od lat badający obecność traumy wojennej w polskim społeczeństwie opublikował w październiku 2023 r. na łamach „Scientific Reports" artykuł podsumowujący ich niedawne ustalenia. W kilku miejscach tekstu przekonują, że odkrywanie przed rodziną trudnych tematów pomaga w ich oswajaniu. Kierujący badaniami Marcin Rzeszutek w rozmowie z Polską Agencją Prasową mówi wprost, że „z tego płynie wniosek: na dłuższą metę nie warto zatajać przed rodziną trudnych wątków z przeszłości, ale należy tworzyć przestrzeń, by o tych traumach rozmawiać". Dzięki temu człowiek oswaja bolesne doświadczenia. Przejmuje nad nimi kontrolę, zanim one przejmą ją nad nim. Można oczywiście mówić o swoich przeżyciach za dużo, aż stanie się to szkodliwe w myśl zasady, że dawka czyni truciznę – tak było prawdopodobnie w przypadku Róży. Ale najpierw trzeba w ogóle się otworzyć.

Ostre obrazy kaleczą od nowa

Taką próbę opanowania swoich wspomnień kilka dekad po wojnie podjął nieżyjący już Jerzy Szperkowicz, reporter, mąż Hanny Krall. Urodził się w 1933 r. w Wilnie, ale gdy wybuchła wojna, mieszkał już z rodzicami i siostrą niedaleko Miadzioła, miasta dzisiaj położonego na Białorusi. To było jedno z tych miejsc wojennej Europy, gdzie zginąć można było z ręki każdego. Najpierw pojawili się Sowieci, po nich przyszli Niemcy, po lasach ukrywali się partyzanci pod różnymi sztandarami, sąsiedzi patrzyli na siebie spode łba – a na koniec wrócili czerwonoarmiści.

FOT. ALEX CAMARA/NURPHOTO VIA AFP/EAST NEWS

Ekshumacja ciał znalezionych we wspólnej mogile 19 maja 2021 r. w Viznar w Hiszpanii

W połowie października 1943 r. matka Szperkowicza, która trzy miesiące wcześniej urodziła drugą córkę, postanowiła iść 18 km po wyprawkę dla dziecka. Gdy wszyscy jeszcze spali, wstała, ubrała się, nakarmiła małą i wyszła. Powinna być z powrotem do wieczora. Nigdy jednak nie wróciła. Miesiąc później przyszli po ojca. Szperkowicz nie napisał, kto przyszedł. Dziećmi zajęła się ciotka. W 1947 r. udało im się wsiąść do pociągu jadącego do Polski. „Parowóz ochryple gwizdnął i ruszył. Czy cienie naszych rodziców – nie wiemy gdzie i jak pogrzebanych, podążyły za nami z opieką?" – pytał po latach.

Ponad pół wieku później wrócił tam, gdzie oni zostali. Chciał odnaleźć ich mogiłę, postawić na niej krzyż, ale żeby to zrobić, musiał najpierw ustalić, co się z nimi stało. Jeździł od chaty do chaty, rozmawiał ze świadkami, z ich potomkami. Fragment po fragmencie rekonstruował ostatnie dni rodziców. Zwłaszcza matki. To była bolesna historia, pełna strachu i przemocy.

„Nadeszło to, przed czym uchylałem się przez te wszystkie lata: dokładne obrazy, sceny. Dotąd wiedza o cierpieniach i śmierci naszej mamy była pełna niedopowiedzeń. Łatwiej to było przełknąć, z tym żyć. Obrazy ostre jak odłamki szkła kaleczą od nowa. Odruch obronny: odejść. Doświadczę go podczas tej podróży wielokrotnie. Dawka jest za wysoka" – pisał we „Wrócę przed nocą", zapisie z podróży po przeszłości, która bolała przed odkryciem i po nim. Najpierw niewiedzą, a później opisami tego, jak jego matkę bito, znieważano, ciągnięto za włosy, jak próbowała uciekać, znajdując jedynie więcej cierpienia.

Reakcje tych, do których przychodził, były różne. Jedni milczeli, inni opowiadali z trudno skrywaną wrogością, inni byli mu wdzięczni, że pyta. Wtedy nie było im wolno nic mówić, bo w okolicy dalej żyli sprawcy, a później nikogo to nie obchodziło. Teraz, mogąc opowiedzieć, co widzieli, zrzucali z siebie ten ciężar.

Rozdrapywane rany narodów

Bywa i tak, że przeszłość zalega na duszy całych narodów, choć w zasadzie są to miliony dusz z imionami i nazwiskami, z których każda walczy o prawdę. Tak jak w Hiszpanii, gdzie nieustannie trwają poszukiwania ofiar wojny domowej (1936–1939). Szacuje się, że liczba zabitych może wynosić od 200 tys. do nawet 1 mln, choć najczęściej mówi się o ok. 500 tys. żołnierzy i cywilów, w tym pomordowanych w egzekucjach.

W jednej z takich zginął poeta Federico Garcia Lorca. W poniedziałek 20 lipca 1936 r., trzy dni po rozpoczęciu walk, oddziały gen. Francisco Franco wspierane przez bojówki Falangi, skrajnie prawicowego ugrupowania politycznego, zajęły Granadę, rodzinne miasto artysty. Od razu został rozpętany terror. Dochodziło do masowych aresztowań. Ludzie nocami byli zabierani z własnych domów, aby nigdy już do nich nie powrócić. Rodzina Lorki, znana ze swoich republikańskich sympatii, również znalazła się na celowniku. Sam Federico ukrył się w domu przyjaciela, którego dwaj bracia uczestniczyli w polowaniach na ludzi w Granadzie. Hasło, że pod latarnią najciemniej, krótko się sprawdzało. 16 sierpnia poeta został zabrany do więzienia i niedługo później rozstrzelany. Data jego śmierci i miejsce pochówku do dzisiaj budzą wątpliwości.

Podobny los spotkał dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi. Frankistowska dyktatura kontrolująca Hiszpanię do 1975 r. uniemożliwiała poszukiwania grobów uznawanych za zaginionych.

Fausto Canales był małym dzieckiem, gdy zabrano mu ojca. „Nie pamiętam go. Nie mam o nim żadnego żywego wspomnienia. Tylko coś w rodzaju cienia. Nie wiem, czy mnie rozumiesz, to trochę tak, jakbym go wyczuwał, jakbym intuicyjnie czuł jego obecność w moim wczesnym życiu. Myślę, że miałem jakieś trzy, może cztery lata, kiedy nabrałem świadomości, że ojca nie ma, że go zabrano" – mówił Katarzynie Kobylarczyk, reporterce, autorce „Strupa", wstrząsającej opowieści o Hiszpanii szukającej swoich umarłych. Canales podążał więc za cieniem. Gromadził zdjęcia, dokumenty. Tworzył w ten sposób „pamięć zdobytą, wydartą zapomnieniu", będącą efektem długiego śledztwa.

W tych poszukiwaniach kryje się potrzeba oddania zabitemu ostatniej przysługi, jakby zadośćuczynienia za to, co go spotkało, i za to, czego nie miał szansy przeżyć. Pisze o tym w „Żołnierzach spod Salaminy" Javier Cercas. „Byli tacy młodzi… Wszyscy zginęli. Wszyscy nie żyją. Nie żyją. Umarli. Wszyscy. Żaden nie posmakował życia: żaden nie miał kobiety tylko dla siebie, żaden nie doświadczył cudu ojcostwa ani nie przeżył chwili, kiedy dzieciak, trzy- albo czterolatek, pakuje się do łóżka rodziców, między matkę i ojca, w niedzielę rano, w rozświetlonym słońcem pokoju…".

Ale jest w tym też chęć poznania ostatniego fragmentu życia tego kogoś. Jaki to ma sens, niedawno zmarły Marcin Wicha przekonywał w „Rzeczach, których nie wyrzuciłem": „Kiedyś sądziłem, że ludzi pamiętamy, dopóki możemy ich opisać. Teraz myślę, że jest odwrotnie: są z nami, dopóki nie umiemy tego zrobić". Wyposażeni w ten brakujący element, niczym w kropkę na końcu zdania, jesteśmy w stanie właściwie się pożegnać. Historie niedokończone będą zaś ciążyć na nas. Niezależnie od tego, czy jesteśmy ofiarami, czy sprawcami. ©℗

eprasa.pl 0c056d6efb

AUTOPROMOCJA

Kultura

Opowieści rozgniewanego optymisty

AI myśli błyskawicznie, ale nie ma poczucia własnego istnienia. Jest więc pozbawiona autorefleksji, absolutnie psychopatyczna. A zatem: absolutnie wydajna. To spełnione kapitalistyczne marzenie

Piotr

Kofta

Czy interesuje nas przyszłość? Wbrew pozorom nie jest to źle zadane pytanie. Należy bowiem odróżnić zainteresowanie od strachu. A my się boimy przyszłości.

Przyszłość nadciąga niczym cyklon; widać go już na horyzoncie, ale nie da się określić jego rozmiarów. Wiadomo tylko, że jest wielki, gigantyczny, monstrualny. Że rozpęta piekło. I że nie tylko sami go przywołaliśmy, ale też stworzyliśmy go, uruchamiając przez swoją gatunkową łapczywość dynamiczne procesy w skali planetarnej.

Strach zawęża perspektywę i wzorce rozumowania. Z jednej strony pojawia się imperatyw ucieczki, z drugiej: marazm i apatia. Przyszłość – ów cyklon – jawi się jako zjawisko o nieogarnionej skali, takie, które nie podlega już żadnemu planowaniu czy refleksji w zakresie przyczyn i skutków. Ponieważ nie można chaotycznej i mrocznej przyszłości zaprojektować, przestaje ona być w istocie obiektem zainteresowania innego niż apokaliptyczne. Ludzkość intensywnie śni koszmary o końcu swojego świata, upatrując – zgodnie z mesjanistycznym kluczem – nadziei już w świecie następnym. Ewentualnie z uporem udaje, że nic się nie dzieje – od przyszłości ciekawsze są wieczne powtórki tego, co już było. Nostalgia to jednak tylko inna forma nieukojonego, neurotycznego, biernego lęku.

Głębokie poruszenie

Wszystko to wpływa oczywiście również na kulturę popularną, w tym osobliwie mocno na literaturę spekulatywną, zajmującą się rzeczywistościami bądź to fantastycznymi, bądź to możliwymi, acz (jeszcze) niezaistniałymi. Lata szczenięce boomerów były czasem wielkich projektów modernizacyjnych – fantastyka tamtej epoki opowiadała, w wielkim uproszczeniu, o triumfach, podbojach, pozytywnych utopiach, problemach wywołanych zbyt szybką ekspansją. A potem powoli zaczęło się coś psuć: z jednej strony pojawił się antykapitalistyczny i antykorporacyjny cyberpunk, który bardzo trafnie przewidział rozmaite problemy cywilizacji cyfrowej. Z drugiej: eskapistyczne baśnie Star Wars, również znakomicie antycypujące repetytywną rozrywkową nudę współczesnej retromanii.

Dziś – w obliczu konfrontacji z cyklonem niosącym w sobie nierozpoznane do końca katastroficzne scenariusze dotyczące załamania klimatu, wojny wszystkich ze wszystkimi, sztucznej inteligencji czy kolapsu demograficznego – hard SF,

eprasa.pl 0c056d6efb

FOT. GRANDEDUC/SHUTTERSTOCK

twarda fantastyka naukowa, która bazuje na wiedzy i przewidywaniu – jest w zdecydowanym odwrocie. Niby powinno być inaczej, tematów przecież nie brakuje. Ale sprawy mają się tak, jak wspominałem na początku: strach każe odwracać wzrok.

Tym bardziej należy doceniać tych, którzy robią swoje. Należy do nich Kanadyjczyk Peter Watts (rocznik 1958), z wykształcenia biolog morski, który porzucił robotę akademicką dla pisarstwa, stając się jednym z najbardziej przenikliwych współczesnych autorów hard SF. Watts zresztą, gdy idzie o jego metodę wyciągania wniosków, nigdy nie przestał być naukowcem (podobnie jak nigdy nie przestał nim być Stanisław Lem). Jego powieści i opowiadania mają liczne przypisy niczym artykuły z branżowego czasopisma, towarzyszą im eseje, w których autor pokazuje, jak doszedł do pewnych eksperymentów intelektualnych, czyimi koncepcjami się inspirował bądź posłużył, na jakich badaniach się oparł.

Teksty Wattsa są wymagające, ale to nie literatura wyłącznie dla jajogłowych nerdów – próg wejścia bywa, owszem, wysoki, niemniej Kanadyjczyk pisze błyskotliwie, odkrywczo, zaskakująco. Jeśli burzyć nonsensownie wzniesione mury między „kulturą wysoką" a popem, to najlepiej właśnie za pomocą takich książek, które dają czytelniczą satysfakcję, lecz zarazem zostawiają nas z poczuciem głębokiego poruszenia. Watts osiąga ten efekt dzięki niewzruszonej trzeźwości swojego myślenia.

Przypominam sobie moje własne osłupienie po lekturze jego najsłynniejszej powieści, „Ślepowidzenia" (wyd. oryg. 2006, 1. wyd. pol. Mag, Warszawa 2008, przeł. Wojciech M. Próchniewicz) – osobliwej mieszaniny futurystycznego technothrillera z opowieścią o pierwszym kontakcie, ale zmajstrowaną w przekornej opozycji do całej klasyki gatunku (choć nie do Lema, o czym wie każdy, kto czytał choćby „Niezwyciężonego", „Solaris" czy „Fiasko"). Zebrawszy wówczas szczękę z podłogi, pomyślałem, że arcydzieła za nic sobie mają tradycyjną dystrybucję prestiżu w literaturze. I że to pocieszające.

Zbędne wydatki energetyczne

Tak się składa, że niedawno ukazał się w polskim przekładzie obszerny zbiór opowiadań Wattsa „Masa krytyczna i inne materiały rozszczepialne", wzbogacony o kilka esejów zamieszczonych na końcu tomu. Być może konsumpcja tej książki to najprostsza ścieżka prowadząca do uniwersum stworzonego przez Kanadyjczyka – niby większość z nich osadzona jest w nieodległej przyszłości, ale zdecydowanie na kursie kolizyjnym. Tej kolizji zaś, wszystko na to wskazuje, nie da się uniknąć. A może sprawy mają się jeszcze inaczej: nasz pojazd już stracił przyczepność, zderzenie się wydarzy, niemniej po zderzeniu nie nastąpią żadne ponowne narodziny z popiołów – po prostu świat, choć inny, będzie trwał, a kto się dostosuje, ten przeżyje.

W opowiadaniach Wattsa mamy do czynienia z feerią pomysłowości: z samoorganizacją gadżetów wyposażonych w śmieciowe AI, przemysłową eksploatacją głębin oceanicznych, wybuchami krwawej agresji na widok logo znanej korporacji, altruistyczną kalkulacją polityczną dotyczącą masowych mordów, aspektem teologicznym i militarnym łączenia mózgów w sieci, zagadką świadomości w sztucznie stworzonym umyśle, z żołnierzami zombie czy możliwą zemstą na promilu najbogatszych. Nad tym wszystkim jednak czuwa racjonalny umysł twórcy; Watts myśli jak biolog, nawet na technologię – w tym AI – patrzy z punktu widzenia ewolucjonizmu i ekologii. Więcej nawet, patrzy w ten sposób również na kapitalizm.

W ujęciu Wattsa wielkie korporacje są w istocie algorytmami sztucznej inteligencji – mają wejście (kapitał, zasoby, pracę), mają zdefiniowaną funkcję celu (maksymalizację wartości dla akcjonariuszy w następnym kwartale), nie mają natomiast sumienia; nie czują też bólu, wreszcie brak im personalnej odpowiedzialności, za którą można wsadzić do więzienia, bo w korporacji odpowiedzialność pozostaje zawsze rozmyta i zaklęta w procedurach. Do niedawna korporacje musiały bazować wyłącznie na białku (na ludzkich pracownikach), ale to się aktualnie zmienia. I ta zmiana, twierdzi Watts, jest kluczowa – AI bowiem może być inteligentna bez świadomości.

Świadomość, jako produkt ewolucji mający na celu utrzymanie nas przy życiu w momentach kryzysowych, wydaje się zbędną przeszkodą w propagowaniu AI. Ma to swoje konsekwencje: AI myśli błyskawicznie, ale nie ma poczucia własnego istnienia. Jest więc pozbawiona autorefleksji, absolutnie psychopatyczna. A zatem: absolutnie wydajna. To spełnione kapitalistyczne marzenie. Albo, patrząc populacyjnie, drapieżny gatunek inwazyjny, który wyeliminuje nas z gry jako źródło zbędnych wydatków energetycznych.

Podobnie bezlitośnie Watts patrzy na zmiany klimatyczne, na perspektywy przetrwania ludzkości w świecie, w którym zniszczeniu ulegną nasze ekosystemy i habitaty, na metody i powody prowadzenia wojen, na potencjał cyfrowej inwigilacji i eksploatacji. W podsumowującym zbiór eseju „Daleko jeszcze? W drodze do dystopii w towarzystwie rozgniewanego optymisty" pisze jednak: „Prywatnie jestem całkiem pogodnym facetem. Podobno ludzie są tym zaskoczeni. (...) Ogólny obraz świata przedstawiony w tych opowieściach nie każdemu może odpowiadać. (...) Podstawy ludzkiej biologii – fakt, że ewolucja ukształtowała nas przy użyciu tej samej metody prób i błędów, którą stosowała do wszystkich innych form życia na planecie – niektórym wydają się wręcz obraźliwe. Jednak moją inspiracją nie są jakieś szczególnie mroczne myśli. To po prostu biologia: neutralna, empiryczna, przydatna. (...) Owszem, przyznaję, że, ogólnie rzecz biorąc, pewnie nie chcielibyście żyć w tych światach. (...) [Ale] tło nie jest opowieścią; nie jest nawet jej głównym tematem. Czy jestem dystopijnym pisarzem? Równie dobrze można by powiedzieć, że «Gra o tron» to serial o hodowli zwierząt, bo w każdym odcinku ważną rolę odgrywają konie". Dystopizm nie jest więc cechą gatunkową literatury – to może banalne, ale jest zwyczajnie immanentną cechą naszej rzeczywistości. ©℗

Peter Watts

„Masa krytyczna i inne materiały rozszczepialne", przeł. Janusz Ochab, Vesper, Czerwonak 2026

eprasa.pl 0c056d6efb

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Jest już za późno

Rafał Woś

Europa jest jak beznadziejny pijak. Ten typ, od którego codziennie zionie alkoholem na półtora metra, ale który będzie was uparcie przekonywał, że nie ma żadnego problemu. A na dowód z dumą pokaże wam dyplom zwycięzcy konkursu „kto wypije więcej szotów w półtorej minuty".

Ot, dwa dowody z ostatnich dni. Jeden anegdotyczny, drugi – by tak rzec – merytoryczny. Byłem niedawno na bardzo poważnej konferencji pełnej bardzo poważnych ekonomistów z bardzo poważnych europejskich instytucji. Dyskusja nieuchronnie zeszła na przyczyny widocznego już nawet nieuzbrojonym okiem rozjechania się dróg rozwojowych Unii Europejskiej (uparta stagnacja) i Stanów Zjednoczonych (mimo wszystko rozwój) w minionym 15-leciu.

Wyobraźcie sobie, że spośród tych wszystkich bardzo poważnych ekonomistów żaden nawet nie zająknął się o polityce klimatycznej, której Europa jest coraz bardziej samotnym pionierem i która gasi jej rozwój, podnosząc koszty energii oraz pogarszając opłacalność produkcji. To był klasyczny słoń w pokoju. Mówili o wszystkim: o niepewności geopolitycznej, o agresywnej polityce celnej USA, o Chinach i o potrzebie dalszego pogłębiania eurointegracji. Tylko nie o dekarbonizacji i zazielenianiu unijnej gospodarki. Klasyczne wyparcie. Szkoda, że Freud nie żyje, bo bym mu pokazał nagranie tej dyskusji i miałby staruszek trochę satysfakcji. A teraz trochę poważniej.

Od lat na potrzeby tej kolumny przeczesuję bieżące ekonomiczne dyskusje. I powiem szczerze, że ze świecą szukać gdziekolwiek w Europie prac, które by się z problemem wadliwego modelu albo choćby nawet ukrytych/zbyt wysokich/źle rozłożonych kosztów unijnych polityk klimatycznych wadziły. Niemcy, Francja, Włochy, Skandynawia, Wielka Brytania. Nic, cicho sza. A jeśli już gdzieś zauważa się jakiś problem, to zazwyczaj jest to tak opakowane, by nikt nie zarzucił autorom, że mają wobec zielonej transformacji poważniejsze zarzuty.

Tym większe było moje zaciekawienie, gdy trafiłem w tych dniach na pracę pod intrygującym tytułem „Greening in the Wrong Place: Geography, Policy Distortions, and the Hidden Costs of Misallocated Green Investment" (Zieleni się, ale nie tam, gdzie trzeba: geografia, zaburzenia polityczne i ukryte koszty wadliwej alokacji zielonych inwestycji). Tekst nie zostawia suchej nitki na unijnych politykach dekarbonizacyjnych, pokazując ich słabości i sprzeczności. Choćby to, że, stawiając na radykalne odejście od paliw kopalnych, Europa zafundowała sobie nową fazę outsourcingu produkcji. Nową, bo w fazie pierwszej wytwórczość wynosiła się ze Starego Kontynentu w poszukiwaniu taniej siły roboczej. W tej obecnej wynosi się po to, by w ogóle przetrwać, gdyż ceny energii w Unii stały się zabójczo wysokie.

Tekst zwraca również uwagę na to, że miliardy publicznych subsydiów pompowanych przez bogatą Europę w zielone technologie były w ogromnej części zmarnowane, dlatego że ideologiczny przymus zazieleniania („musimy ratować planetę, a kto uważa inaczej, ten chce zagłady ludzkości") zlikwidował normalne rynkowe bezpieczniki, które alarmują, gdy jakaś inwestycja jest niezbyt rokująca. Problem w tym, że energetyka odnawialna nie mogła w tym modelu nie rokować. To nie miało żadnego znaczenia. Publiczne subsydia i tak płynęły szerokim strumieniem, a potem siłą rozpędu. O żadnej efektywności inwestycji albo o koszcie alternatywnym nie było nawet mowy.

Zgadzając się z opisem konsekwencji zielonych polityk, przechodzę w owej lekturze do rad praktycznych. I włos mi się jeży na głowie. Autorzy twierdzą, że nic się już nie da zrobić. W zaistniałej sytuacji najlepszym wyjściem dla Europy będzie przyspieszenie procesu deindustrializacji. A nawet pójście w kierunku tzw. powershoringu, czyli odważniejszego oparcia się na zasobach energetycznych krajów, w których polityki klimatyczne są o wiele bardziej permisywne, a dzięki temu energia jest tańsza.

Patrzę więc na autorów tej pracy i widzę dwóch Brazylijczyków: Jorge Arbache'a i Otaviano Canuta. Ich artykuł opublikowała instytucja o nazwie Policy Center For the New South. To marokański think tank z Sale pod Rabatem. I faktycznie z nieeuropejskiej perspektywy to ma sens. Deindustrializacja Europy to olbrzymia szansa na nadgonienie, a może nawet przegonienie starego świata. Wcale się więc nie dziwię, że badacze z Globalnego Południa bardzo kibicują Europie w ich drodze do przemiany w postprzemysłowy skansen. Jak barman otwierający pijakowi kolejną butelkę whisky. A potem kolejną i kolejną. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność"

Równość na promce

Jak wprowadzenie przejrzystości przekłada się na płace pracowników obu płci?

Joanna Tyrowicz

Autorka jest ekonomistką GRAPE

W ostatnich latach polityka przejrzystości wynagrodzeń stała się globalnym trendem, przyjętym przez ponad połowę krajów OECD w celu poprawy równości płci. Transparentność nie oznacza pełnej jawności płac (powszechnej od lat w krajach skandynawskich), lecz ujawnienie pełnej informacji na temat polityki wynagrodzeń oraz konieczność publikowania sprawozdań, na ile rzeczoną politykę praktycznie się wdraża. Na przykład w Wielkiej Brytanii od 2018 r. firmy zatrudniające co najmniej 250 pracowników są zobowiązane do publicznego ujawniania wskaźników równości płac. Czy taka przejrzystość coś zmienia? A jeśli tak, to co i dlaczego? No i przede wszystkim: czy pomaga równej płacy za równą pracę?

Brytyjski przykład posłużył do zbadania, jak wprowadzenie przejrzystości przekłada się na płace pracowników obu płci. Ponieważ obowiązek ten objął firmy od pewnego poziomu zatrudnienia, można roboczo przyjąć, że przed reformą firmy o prawie takim samym poziomie zatrudnienia nie różniły się zasadniczo od firm o nieco tylko wyższym stanie osobowym. Badanie Jacka Blundella (LSE), Emmy Duchini (Sussex), Ștefani Simion (Bristol) oraz Arthura Turrella (Bank Anglii) pokazuje znaczące spowolnienie wzrostu płac mężczyzn w firmach objętych obowiązkiem sprawozdawczym w porównaniu z podobnymi firmami, których ta regulacja nie objęła. Wynagrodzenia kobiet zachowywały się podobnie, więc w efekcie wymóg publicznego raportowania przyczynił się do znaczącej redukcji luki w płacach kobiet i mężczyzn: o 19 proc. Netto pracodawcy mogli średnio nawet zaoszczędzić na wynagrodzeniach. Spowolnienie wzrostu płac mężczyzn pochodziło z niższej premii i mniejszej liczby awansów w firmach objętych regulacją.

Te wyniki nie są odosobnione: w przeglądzie podobnie przyczynowo-skutkowej literatury Zoë Cullen (Harvard) wskazuje, że tego rodzaju wyniki pojawiają się systematycznie za każdym razem, gdy mowa o przejrzystości poziomej, czyli ułatwionym dostępie do informacji o płacach na stanowiskach podobnych do naszego. Zgodnie z teorią ekonomiczną i dowodami empirycznymi ten typ przejrzystości prowadzi do kompresji płac, czyli zmniejszenia różnic w wynagrodzeniach pomiędzy podobnymi pracownikami. Badania wskazują, że przejrzystość często zwiększa de facto siłę przetargową pracodawcy, który może wiarygodnie odmówić podwyżki jednemu pracownikowi, argumentując, że podniesienie płacy jednej osoby spowodowałoby kosztowne podwyżki dla wszystkich innych pracowników.

Związek przyczynowo-skutkowy działa tu wieloetapowo, ale też jego siła w dużej mierze zależy od kontekstu. Publiczne ujawnianie statystyk o wynagrodzeniach pracowników stanowi silny szok informacyjny zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz firmy. Mechanizmem wzmacniającym jest kontrola publiczna. Przykładowo w Austrii i Danii firmy muszą obliczać (nie)równość płac, ale nie muszą jej podawać do publicznej wiadomości. W Wielkiej Brytanii trzeba ją także podać na stronie ministerstwa pracy, co wzmocniło dyscyplinujące efekty tej polityki. Firmy publikujące większą lukę płacową otrzymywały gorsze wyniki w rankingach reputacji. Innymi słowy, publiczna dostępność wskaźników równości płci zwiększa kontrolę społeczną. Poszlakowo okazało się także, że firmy, które były potencjalnie bardziej narażone na kontrolę społeczną – mierzoną przed wprowadzeniem polityki wysokością inwestycji w reklamę – wykazywały większą reakcję na politykę przejrzystości. To sugeruje, że troska o reputację jest kluczowym katalizatorem zmian.

Oczywiście redukcja nierówności płacowych ze względu na płeć została osiągnięta nie przez wyrównanie w górę płac kobiet czy przyspieszenie wzrostu w ich przypadku, lecz przez spowolnienie wzrostu płac dla mężczyzn. Ale to nie koniec. Cullen wskazuje, że przejrzystość pionowa (informacje o awansach) i międzypodmiotowa (informacje o wynagrodzeniach u konkurencji) mają potencjał do podnoszenia ogólnego poziomu płac, motywacji i alokacji talentów. Tymczasem przejrzystość horyzontalna działa głównie poprzez dyscyplinowanie pracodawców z obawy przed utratą reputacji, co przekłada się na bardziej konserwatywne polityki wynagrodzeń, bo wzmacnia pozycję pracodawcy, a nie możliwość wynegocjowania lepszych warunków przez kobiety. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych

eprasa.pl 0c056d6efb